EPOKA

TYGODNIK

ROK I | Warszawa, 4 grudnia 1932 R. | NR. 10

Na szańcach pacyfizmu

Reportaż o życiu w klasztorze

Maskarada polityczna

„6 dni zarobku - 5 dni pracy“

Jawne sprzysiężenie

Wydarzenia i dokumenty. Odgłosy. Przegląd polityczny. Listy do „Epoki“.

AUTORZY: CZECZELNICKI, WASOWSKI, PRAGIEROWA, WIDZ, BRUDNICKA, KORNACKI, ŻYCIEŃSKI.

WYDARZENIA I DOKUMENTY

NOWA PLUTOKRACJA

Prasa amerykańska stwierdza, że miejsce ginącej w powodzi bankructw plutokracji zajmuje nowa „kryzysowa" artystokracja. Stary system zdobywania miljonów przeżył się. „Głowy" miljonowych firm nie mogą dostosować się do tempa gospodarczego odwrotu. Najpoważniejsze firmy upadają, wielkie firmy wstrzymują pracę, synowie i córki amerykańskich nababów porzucają swe pałace w poszukiwaniu pracy. Stara generacja bogaczów ginie. Lecz miejsce znikającej plutokracji zajmuje „arystokracja kryzysowa". Są to nowi dorobkiewicze, subjekci i rządcy majątków, agenci i drobni przemysłowcy. W czasach „prosperity" uciułali sporo grosza, ryzykownych interesów nie prowadzili, na giełdzie nie grali, bo nie chcieli całego swego majątku stawiać na kartę. Gdy nastąpił okres „siedmiu krów chudych", wydostali z zanadrza swe dolary; a że obecnie wszystko za bezcen można nabyć, zakupują więc domy, majątki, fabryki i magazyny. Jest to nowa plutokracja, która zajmie pozycje, porzucone przez dawnych miljonerów.

NATCHNIENIE SZOWINIZMU

Najznakomitszy, obok Vancury, czeski powieściopisarz współczesny, Karol Capek, zadebiutował niedawno na łamach „Lidovych Novin", jako polityk. Żadna z dotychczasowych powieści Capka, — ani „Boża Męka", czy „Adam — Stwórca" nie przyczyniły się w takim stopniu do spopularyzowania nazwiska autora, jak właśnie jego list otwarty o poprawie czeskosłowackiego bilansu handlowego.

Smutny to list, — może on posłużyć jako jeszcze jeden dowód zgubnego wpływu manji politykowania na równowagę umysłową.

W swym liście otwartym żąda Karol Capek, by rząd czechosłowacki ustosunkował się do książek sprowadzanych z Węgier tak, jak do innych towarów, t. zn. by zezwolił na przywóz dzieł literatury węgierskiej, pod tym wszakże warunkiem, żeby wzamian za to Węgrzy zobowiązali się nabywać towary czeskie na sumę równą wartości wywiezionych z Węgier książek.

Szowinizm Capka święci prawdziwy tryumf. Trudno przekonywać zagorzałego partjotę i jednocześnie znakomitego pisarza, iż książka, choćby węgierska (!) zasadniczo różni się od bekonów, czy jaj, różni się już tylko tem, iż nawet w czasach panującej dziś tępoty, ma wolny wstęp do wszystkich krajów kulturalnych, jako podstawowy czynnik kulturalnego zbliżenia narodów. Nie doceniajac wartości książek, nie szanuje Capek w samym sobie — pisarza.

»ZABAWNE WIĘZIENIA«

W szeregu n-rów „Kobiety Współczesnej", p. K. Muszałówna opisuje w sposób wysoce interesujący swoje wrażenia z pobytu w Ameryce. W rozdziale p. t. „Za parkanem z metalowych rur" p. Muszałówna przytacza rozmowę z agentem policji kryminalnej w Los Angeles:

— Nasze więzienia są bardzo zabawne — oświadcza mi wyższej kategorji agent policji kryminalnej w Los Angeles. — Nie ze względu na swój wygląd, lecz na... zawartość. Właściwie, w związku z krachem giełdowym, kryzysem i prohibicją, w naszych luksusowych celach więziennych powinnaby siedzieć cała amerykańska inteligencja... Siedzi — częściowo. W olbrzymiej swej większości jest nieuchwytna. Znakomicie chroni ich zmowa, najpotężniejszy czynnik obrony i gwarancja niewinności. Rozumie pani: winny nie może „sypać" zmowy. Wielkie skandale są sensacją pod warunkiem, że nie wydarzają się zbyt często. Są winy, które lepiej uznać... niewinnemi. Są stosunki, autorytety, renomy, sławy, których — w interesie społecznym — nie należy podważać.

A dalej — o małoletnich:

— Nasze więzienia są teraz szczególniej zabawne... Czy pani uwierzy? Większość więźniów to — małoletni. Wy, w Europie powiedzielibyście: skutek wojny. My mówimy: konsekwencja kryzysu... Młodzi są najmniej cierpliwi. Obiecywaliśmy im „prosperity" do śmierci. Dostali — nędzę. Nie chcą zrozumieć, dlaczego moralnie jest lokować w morzu tonny pomidorów i owoców (wczoraj właśnie — wie pani o tem — wrzucono do brzucha Pacyfiku wiele tych darów ziemi), karmić ziarnem kawy piece lokomotyw, a niemoralnie jest — zabrać gratis dla dobra własnego żołądka parę kilogramów z nadmiaru tego czy innego artykułu. Tłumaczymy im więzieniem te subtelne różnice moralności... Rezultatów dotąd nie mamy, a w więzieniach — pełno.

PRAWO BIAŁEGO CZŁOWIEKA

Anglikański pastor Lefroy z Australji Zachodniej na łamach „Manchester Guardian Weekly" demaskuje okrucieństwo swych rodaków. „Jeszcze w roku 1928 w Środkowej Australji rozstrzelano 31 tubylców (były wśród nich i kobiety) przez zemstę za zamordowanie białego człowieka. Uczynił to nie tłum szumowin w formie sądu Lyncha, lecz regularne oddziały policji, która na swe usprawiedliwienie przytoczyła, że australijczycy nie zatrzymali się, gdy zostali ostrzeżeni „w imieniu króla". Za „usiłowanie ucieczki" zginęli Bogu ducha winni ludzie, których jedynem „przewinieniem" jest ciemne zabarwienie skóry".

Przed stu laty — od 1830 do 1838 roku — działały w Tasmanji sądy polowe, które za najdrobniejsze przewinienie skazywały tubylców na karę śmierci. W owym okresie rozstrzelano 3 do 4 tysięcy krajowców. Przez szereg tygodni koloniści urządzali polowania na australijczyków, zapędzając ich w kąt wąskiego półwyspu. Znany podróżnik De Beauvoir „spotkał przed kilkudziesięciu laty w Queensland kolonistę, który szczycił się swemi dwoma karabinami. Posiadały one 65 nacięć; każde nacięcie oznaczało zabitego krajowca.

Teraz powstał komitet ochrony krajowców przy rządzie australijskim (czy nie przypomina to ustawowej ochrony żubrów lub kozic górskich?). Prezes owego komitetu, dr. Gilruth, dosadnie określa system kolonizacji Australji: „Pod względem traktowania krajowców okupacja brytyjska w Australji stanowi najbardziej ponury rozdział supremacji europejczyków nad światem".

W I E L K A Z M I A N A

W korespondencjach p. Otmara z Moskwy, zamieszczanych w „Gazecie Polskiej" znajdujemy sporo wysoce pouczającego materjału. P. Otmar jest objektywny, nie przeczy rzeczywistości, nie nagina jej do takiej lub innej, zgóry powziętej tendencji. Widzi dobrze światła i cienie życia w Sowietach, daje rzetelną relację. W korespondencji „Bilans piętnastolecia" zestawia „aktywa" i „pasywa" Sowietów. W aktywach notuje, między innemi:

„Zagadnieniem rozwiązanem na terenie Rosji przez rewolucję — jest kwestja kobieca. W sprawie tej krąży po świecie mnóstwo opowiadań nieraz wręcz płaskich. Na kwestje te mamy w Polsce różne zapatrywania: od „dulszczyzny" do „boy'ostwa". W Sowietach zagadnienie powyższe zostało wyrównane przez samo życie: stosunek wzajemny dwu płci nie jest alfą i omegą—ludzie tu przedewszystkiem są pracownikami — dopiero w chwilach wolnych od pracy i stania „w ogonku" — stają się mężczyzną i kobietą. Małżeństwo straciło wszelkie podłoże materjalne — niema dziś w Sowietach zjawiska, które nazywamy w naszym świecie: „dobrą partją". Z punktu widzenia ściśle przyrodniczego, t. zw. „dobór naturalny" jest wielce ułatwiony — ludzie nie szukają „związków nielegalnych", mając — wedle obowiązującego ustawodawstwa — szeroko otwarte drogi „legalne". W rezultacie — ilość rozwodów zmniejsza się z roku na rok i już dziś mniejsza jest, niż naprzykład w Ameryce. Największa hańba ludzkości — prostytucja — zniknęła z ulic miast rosyjskich — jako zjawisko masowe. Pozostałości — (bardzo nieliczne) — są likwidowane z całą bezwzględnością.

Wiele z powyższego krańcowo nieraz odbiega od naszych pojęć o t. zw. „moralności", ale gdy znów przypomnimy sobie dawną Rosję, ów klasyczny kraj katowanych żon i męczeńskich „żółtych paszportów". trudno jest nie docenić dokonanego w tej dziedzinie przewrotu".

T E Ż R E K L A M A

Wyświetla się w Warszawie znakomity film wojenny „Drewniane Krzyże". Rzecz wstrząsająca w swej prawdzie i grozie.

W gazetach stołecznych zamieszczono następujące o tym filmie ogłoszenie: „Taniec humoru i śmiechu ujrzycie w największym filmie wojennym „Drewniane Krzyże"...

Przedsiębiorcom, którzy wpadli na pomysł takiej reklamy, winszujemy dobrego smaku...

Kto chce przyczynić się do rozwoju niezależnego i poważnego tygodnika, powinien przysparzać prenumeratorów „Epoce"

NA SZAŃCACH PACYFIZMU

O głębokim kryzysie, jaki przechodzi Liga Narodów, mówią i piszą wszyscy.

Dla szerokiej opinji, a zarazem i dla prasy kryzys ten ujawnił się w związku ze zdarzeniami na Dalekim Wschodzie, jak też i na skutek jałowości prac Konferencji Rozbrojeniowej.

Na Dalekim Wschodzie jeden członek Ligi Narodów — Chiny — stał się objektem wyraźnie imperjalistycznej napaści drugiego członka — Japonji, która swą akcją w Szanghaju i w Mandżurji pogwałciła pakt Ligi Narodów.

Jak zareagowała na to Liga Narodów? Czy puściła w ruch sankcje, przewidziane w art. 16-ym na wypadek pogwałcenia art. 10 i 11-go? Bynajmniej. Liga upodobniła się do Piłata.

W sprawie rozbrojenia dawno już było widocznem, iż prace komisyj Ligi Narodów, poświęcone problemowi rozbrojeniowemu, polegały na gmatwaniu zagadnienia, celem odroczenia decyzji od calendas graecas. Gdy zaś po wielu latach istnego sabotażu wreszcie zwołano Konferencję Rozbrojeniową, okazało się, iż członkowie Ligi, zwłaszcza wielkie mocarstwa rywalizują w wyszukiwaniu sofizmatów i prawniczych wykrętów, które mają zadanie ukryć bezsprzeczny fakt niewykonania art. 8-go paktu Ligi Narodów, w którym sygnatarjusze zobowiązali się do rozbrojenia i to nietylko moralnego, lecz materjalnego, realnego, rzeczywistego.

Dziesięcioletni okres tych rzekomo przygotowawczych prac „rozbrojeniowych" użyto przytem na najbardziej forsowne zbrojenie się.

To też liczba przyjaciół Ligi Narodów, liczba jej zwolenników gwałtownie się zmniejsza, Liga traci kredyt. staje się wprost przedmiotem drwin.

Niestety to dyskredytowanie Ligi Narodów dotyczy nietylko instytucji genewskiej, ale również i samej *idei wilsonowskiej*, gdyż szeroka opinja nie zdaje sobie sprawy z tego, iż instytucja ta nie była bynajmniej urzeczywistnieniem prawdziwej idei Ligi Narodów, że ten twór „Pokojowej Konferencji" Wersalskiej był wynaturzeniem, zniekształceniem prawdziwej społeczności narodów.

O ile więc obecnie teoretycy imperjalizmu i nacjonalizmu, usiłują z niemocy genewskiej instytucji wyciągnąć wnioski na korzyść swej ideologji i wołają z tryumfem, iż pacyfizm poniósł sromotne fiasco, to wnioski te nie są niczem uzasadnione i mogą być czynione w dobrej wierze jedynie na skutek ignorancji. By to udowodnić, wystarczyłoby przypomnieć surową krytykę, jakiej już 10 lat temu zwolennicy prawdziwej idei Ligi Narodów poddali twór wersalski, przepowiadając, iż Ligę Narodów czeka ten sam los, jaki w swoim czasie spotkał Święte Przymierze.

Liga Narodów uchodziła i uchodzi za wynalazek i twór tego „dziwaka" Wilsona, w rzeczywistości zaś prof. Woodrow Wilson, nietylko miał prekursorów, ale był kontynuatorem kilku pokoleń myślicieli.

***

Od dawien dawna wiele wybitnych umysłów zdawało sobie sprawę z tego, iż t. zw. Międzynarodowe Prawo Publiczne nie spełnia swego zadania, nie mogąc zorganizować stosunków międzypaństwowych na

podstawie prawa, ani zażegnać nieustannie wzrastającej anarchji międzynarodowej i międzypaństwowej.

Oto geneza projektów wieczystego pokoju, związanych z imionami opata de Saint Pierre (rok 1717), J. J. Rousseau, Jeremjasza Benthama (1789), Kanta. Analogicznemi poglądami tłomaczy się wystąpienie działacza Rewolucji Francuskiej, opata Gregoire'a, który zaproponował Konwentowi przyjęcie Deklaracji prawa narodów, która była przeniesieniem zasad deklaracji praw człowieka i obywatela do prawa międzynarodowego, była próbą rozszerzenia więzów prawa na wszystkie stosunki międzyludzkie.

W różnych krajach pisarze, tak większej, jak i mniejszej miary, zajęli się pogłębianiem poszczególnych punktów wspomnianych projektów, dzięki czemu powstała cała literatura, poświęcona kwestji rozbrojenia, rozejmu, organizacji Międzynarodowego Trybunału, Kodeksu Międzynarodowego Prawa, i t. p. Prace, dotyczące tych kwestyj, mnożyły się zwłaszcza w krajach anglo-saskich i we Francji. Rozszerzywszy się, ruch ten przyjął w krajach łacińskich charakter wybitnie federalistyczny.

Już same nazwy dzieł są bardzo charakterystyczne.

W październiku 1814 r. Saint Simon — wraz ze słynnym historykiem A. Thierry — wydaje dzieło pod tytułem — „O reorganizacji społeczności europejskiej, czyli o konieczności i o środkach zespolenia narodów Europy w jedno ciało polityczne, zachowując niezależność narodową poszczególnych członków". Dzieło to, wysuwające pojęcie „patrjotyzmu europejskiego" oraz solidaryzmu europejskiego i zawierające projekt parlamentu oraz egzekutywy ogólno - europejskiej — jest bezsprzecznie pierwszym projektem Pan - Europy. Coudenhove — Kalergi, Romain Rolland, Gaston Riou („Europe, ma patrie"), Drieu La Rochelle („Europe contre les patries") są kontynuatorami Saint Simon'a.

Pod wyraźnym wpływem Saint - Simona znajduje się cała plejada publicystów, autorów dzieł o znamiennych tytułach, — któreby w naszej epoce były zupełnie aktualne.

W r. 1859 Sigaud wydaje dzieło „O konfederacji europejskiej", w r. 1863 Ferrer pisze pracę „Nowa era. O potrzebie międzynarodowego kodeksu i międzynarodowego sądu rozjemczego". Dziesięć lat później, pisząc o tych samych problemach, Dufasquier daje swej pracy tytuł: „Zbrodnia wojny pokazana ludzkości", a belgijczyk Goblet d'Alviella publikuje pracę: „Rozbrojenie albo upadek". W tym samym czasie wychodzi dzieło federalisty Bara „Nauka pokoju", napisane w 1849 r., uczeń zaś Saint Simon'a Karol Lemonnier zakłada dziennik „*Les Etats Unis d'Europe*". (Stany Zjednoczone Europy) i wydaje pod tymże tytułem książkę. Równocześnie Anglik F. Scebohm wydaje bardzo ciekawe dzieło „O rofermie międzynarodowego prawa" przetłomaczone na francuski (z entuzjastyczną przedmową słynnego pacyfisty francuskiego, Fryderyka Passy). Należy również wspomnieć o dziele Niemca Sartoriusa „*Organon des volkommenen Friedens*", wydanem w Zurychu i o pracy austrjaka M. Adlera „*Der Krieg, die Congressidee und die allgemeine Wehrpflicht*" (1868).

Równolegle z tym ruchem publicystycznym powstają stowarzyszenia pacyfistyczne, liczne zwłaszcza we Francji. Do jednego z tych stowarzyszeń, mianowicie do Ligi pokoju i wolności należeli Karol Lemonnier, Garibaldi, V. Hugo, przyczem ten ostatni był kontynuatorem tendencyj pacyfistycznych Lamennais, Lamartina i Quinet'a. Czynny udział w ruchu brali czołowi filozofowie Francji — Renan i Littré, oraz teoretycy socjalizmu francuskiego, jak Considerant, Cabet, Pecqueur, Leroux, Proudhon.

Tę pacyfistyczną tradycję francuskiego ruchu socjalistycznego pogłębił i wzmocnił następnie Jaures.

Jednocześnie pacyfizm rósł w krajach anglo-saskich, gdzie stawała się coraz bardziej popularną idea arbitrażu, rozejmu międzynarodowego, która w Stanach Zjednoczonych A. P. miała gorących obrońców w sferach rządowych; dość wspomnieć o Bryanie i Wilsonie. Wśród sfer rządzących Europy powyższe tendencje nie znajdywały posłuchu.

Na skutek wielu przyczyn, wśród których niepoślednią rolę odgrywał wspomniany ruch pacyfistyczny, Europa przedwojenna miała swoje „konferencje rozbrojeniowe", mamy na myśli Konferencje Haskie 1899 i 1907 r. Wyniki tych Konferencyj były negatywne właśnie z powodu tego, że rządy Europy obstawały przy indywidualistycznej i anarchicznej zasadzie absolutnej suwerenności poszczególnych państw.

O ile rządy europejskie okazały się niezdolne do poważnego i szczerego ujęcia problemów pokoju i prawnej organizacji stosunków międzypaństwowych, myśl naukowa, zwłaszcza pod wpływem fiaska Konferencyj Haskich, zaczyna wyzwalać się z pod jarzma przestarzałych idei i stopniowo i coraz śmielej poddaje krytyce podstawy tradycyjnego prawa międzynarodowego.

Znany niemiecki uczony Bluntschli, podkreśla, iż prawo międzynarodowe znajduje się w stadjum kształtowania się, Walther Schucking, poświęca się studjom nad środkami pokojowego rozwiązania konfliktów międzynarodowych, prof. Preuss poddaje głębokiej krytyce ideę suwerenności państwowej, wyprzedzając w tym punkcie słynnego prawnika francuskiego, prof. L. Duguit'a. Angielscy prawnicy, dzięki swemu realizmowi, podważają tradycyjne poglądy na poszczególne problemy konkretne, a Lorimer pisze szkic Międzynarodowego Prawa Przyszłości. Rosyjscy profesorowie — Komarowski, Jaszczenko, śmiało podchodzą do problemu suwerenności, przyczem Jaszczenko buduje federalistyczną teorję prawa międzynarodowego. Francuzi — Leon Bourgeois, M. Leroy, a zwłaszcza uczeń prof. L. Renault, paryski prof. Geouffre de Lapradelle, oraz L. Duguit ustalają, iż zasada suwerenności jest negacją prawa międzynarodowego i kładą podwaliny pod solidarystyczną teorję prawa międzynarodowego. Wśród tych nowatorów nie brak i Amerykanów a najciekawszym z nich jest D. J. Hill, który w swych dziełach wykazuje, iż zasada suwerenności niechybnie prowadzi ku anarchji międzynarodowej.

Wojna światowa wstrzymała ten ruch naukowy, lecz zarazem ujawniła szereg fikcyj, których zbiór podawano za prawo międzynarodowe. Stopniowo myśl naukowa zaczęła powracać do swych praw i nie bacząc na powojenny neo-merkantylizm, na zamaskowaną walkę imperjalizmów i nacjonalizmów wszelkiego rodzaju, prawda naukowa poczęła powoli lecz pewnie kroczyć naprzód. Wielkim postępem w dziedzinie prawa międzynarodowego jest wydana w 1920 r. praca wiedeńskiego prof. H. Kelsena „Das Problem der Souveränität und die Theorie des Völkerrechts".

W tym ruchu naukowym ma swych przedstawicieli również i Polska. Bardzo cennym wkładem do skarbnicy naukowej jest praca doktorska wileńskiego docenta, D-ra Wiktora Sukiennickiego („Suwerenność państw w nowoczesnem prawie międzynarodowem"). Dzięki tej podstawowej pracy młody polski uczony odrazu wybił się na czoło teoretyków prawa międzynarodowego.

***

Na pokojowej Konferencji Wersalskiej mieli przewagę politycy bardzo dalecy od rzetelnego pacyfizmu i od nowych tendencyj prawa. Europejscy mężowie stanu — Clemenceau, Lloyd George i Orlando byli wyrazicielami przestarzałych koncepcyj indywidualistycznych, partykularystycznych. Przy zetknięciu się z nimi, w walce z nimi Wilson został pokonany z przyczyn natury psychologicznej, świetnie wyjaśnionych przez prof. J. M. Keynesa, w jego pierwszem dziele, poświęconem krytyce Konferencji Wersalskiej („Les conséquences économiques de la paix"). Już same metody pracy konferencji, odbywającej się poza kontrolą szerokiej opinji, dawały przewagę imperjaliście Orlando, oportuniście Lloyd George'owi i „bismarkiście" Clémenceau nad nieprzywykłym do metod europejskiej dyplomacji Wilsonem. Gdy Wilson spostrzegł się, iż przy pozornie czynionych mu ustępstwach partnerzy jego coraz bardziej przemycają klauzule, które są zaprzeczeniem znakomitych 14 punktów — było już zapóźno.

Zresztą masy, które mogłyby poprzeć Wilsona, nie były zorganizowane. Dość przypomnieć, iż delegacja francuskiej partji socjalistycznej, która na czele z Longuet i Lachin'em udała się na przywitanie Wilsona, musiała czynić zabiegi u papy Clémenceau, by jej na przywitanie zezwolił.

Jednem z ustępstw na rzecz Wilsona miała być Liga Narodów. Przedstawiciele Europy przyłączyli się do propozycji Wilsona bez zbytniego entuzjazmu, zagwarantowawszy przytem w statucie Ligi wielkim mocarstwom przemożny wpływ, a zasadzie suwerenności państw dalsze nieograniczone zastosowanie.

Już przez to samo, Liga nie mogła być niczem innem, jak nowem wydaniem Świętego Przymierza i zgóry była skazana na niemoc.

Jedyny przedstawiciel pacyfizmu w Wersalu, Wilson został pokonany; tradycyjna polityka natomiast święciła tryumf.

Niewolno więc obecnie wyników błędów polityki imperjalistycznej kłaść na karb pacyfizmu.

S. Czeczelnicki

CREDO SPOŁECZNE STEFANA ŻEROMSKIEGO

W SIÓDMĄ ROCZNICĘ ZGONU

Siedem lat minęło od śmierci Stefana Żeromskiego. Godzi się z okazji tej rocznicy przypomnieć nietylko, czem był, jako artysta, ale i o wielkości Jego zasługi w świecie idei społecznych. Nie jest to zasługa, o której powiedziećby można, że należy do dnia wczorajszego. Pisma Żeromskiego zachowały swoją moc żywotną, niektóre zaś w świetle dnia dzisiejszego zyskały na sile swej sugestji ideowej.

Ukazał niedole i radości wszystkich sfer społecznych, niepokojące problematy epoki, jej troski, dążenia, ideały, jej tragedje i zwycięstwa; zajmował się sprawami bieżącego dnia, sprawami chłopa, pana, robotnika, fabrykanta, mieszczucha, inteligenta, artysty; zebrał najwymowniejsze dokumenty współczesnego życia, wszystkie skargi, westchnienia, klątwy i błogosławieństwa. Chciał ujrzeć i przeniknąć wszystko: co dzieje się na widowni publicznej, a co niewidocznie, co na wielkich gościńcach, a co na małych dróżkach i maleńkich ścieżkach. Docierał do zaułków, do zakamarków, wszędzie.

Czego szukał z takim niepokojem?

Od Judymów i od Olbromskich, poprzez wszystkie „dzieje grzechów" i wszystkie „sny o szpadzie" aż do Rudomskich i Gajowców, od westchnień „ludzi bezdomnych" do wielkiej nowiny o „wietrze od morza" — na całej drodze twórczości Żeromskiego działa nieustannie, a nawet z natężeniem coraz większem idea Naprawy, przemiany, budowania nowego życia narodu. Przed zdobyciem niepodległości mogła się idea ta wyrażać przedewszystkiem w marzeniu o własnem państwie, we wspomnieniach o minionem bohaterstwie, o którem pamiętają „wierne rzeki" polskie i o którem mówią „echa leśne". Lecz na pamięć przychodzą nietylko rzeczy i czyny pełne chwały, ale również złe, okropne. Jeśli pierwsze budzą otuchę i nadzieję, drugie są groźnem ostrzeżeniem. Jedne i drugie dawały Stefanowi Żeromskiemu dobry powód, by mówić o lepszej przyszłości, zawsze o przyszłości.

Na wielu kartach jego utworów i prac publicystycznych powtarza się stale pewien naczelny postulat, credo i drogowskaz: jakakolwiek będzie przyszłość społeczeństwa i cokolwiek zmieni się w ludziach, prawach i ustrojach, opoką zbiorowego życia jest i będzie twórcza praca. Przeto w Polsce odrodzonej trzeba ustawić takiej pracy mnogie warsztaty, A Polaka uczynić robotnikiem, miłującym swoją rolę na wielkiem społecznem pracowisku. Marzenie Cyprjana Norwida o warsztatach twórczej pracy polskiej jeszcze potężniej przemawiało w pismach Stefana Żeromskiego.

Zastanawiając się nad różnemi formami władzy człowieka nad człowiekiem, jedynie jej usprawiedliwienie znajduje w prawach organizacji pracy i w prawach intelektu, tą organizacją rządzącego Któż są ci, którzy mają moralne prawo rządzenia i rozkazywania? Komu wolno zadawać przymus człowiekowi dla pożytku ludzi? Komu należy się posłuch wszelkiego pozbawiony szemrania? „Kiedy — pisze Stefan Żeromski — wybucha epidemja szkarlatyny, plamistego tyfusu, ospy, cholery, dżumy, wówczas rządy nad ludźmi obejmuje lekarz. Dyktuje nieodwołalnie prawa, nakazuje i zakazuje. Kiedy ludzie postanawiają przebić tunel pod łańcuchem gór, ażeby w szybkim pociągu przebywać w kilkanaście minut do tego miejsca na drugiej stronie łańcucha dokąd dawniej trzeba było w najcięższym trudzie w ciągu paru dni wędrować, wówczas inżynier obejmuje władzę nad rzeszami pracowników. Geolog rozłupujący młotkiem kamienie, które potrącała obręcz nędznego wozu kmiecia, albo chodaki robotnika, odkrywa w nich

niespodzianie tajemnicę i oto wydaje wskazówki miljonerom, tropiącym skarby i tłumom idącym za skibą nędznego chleba. Oficer trzymający rękę na motorze olbrzymiego pancernika jest samowładcą tysiąca istnień ludzkich, które zależą od dobrego lub złego ruchu jego dłoni. Marja Curie-Skłodowska, wywodząca na tablicy z równań matematyki wyższej krzywą linję, a potwierdzająca tę samą linję zapomocą fizycznego działania na świetliste ruchome radjum w szklanej cewce rozmaitemi potęgami siły elektrycznej, rządzi umysłami słuchaczów, na zasadzie posiadania odkrywczej swej wiedzy, bardziej wszechwładnie, niż monarcha i bardziej nieodwołalnie, niż arcykapłan. Uczeni, technicy, inżynierowie, chemicy, fizycy, lekarze, znawcy, specjaliści, działający jako odkrywcy, albo na podstawie wdrożenia nieomylnych wyników praw znalezionych, sprawują rządy wciąż i wszędzie."

Oto prawa władzy — najwyższe, istotne. Oto instancja rozkazodawcza. Oto przymus usprawiedliwiony. Praca z wyzysku wyzwolona i tej władzy intelektu poddana, stworzy nową moralność społeczną: „Moralność, wytwarzająca się na pniu pracy i w jej granicach, będzie antytezą dzisiejszej i nie do pojęcia przez ludzi starego świata".

Nową podstawę organizacji świata pracy widział Stefan Żeromski w postulatach syndykalistycznych. Uważał je za „najbardziej nowoczesną, najskrajniejszą i najprostszą metodę organizowania życia publicznego". Studjował literaturę tego ruchu, a głośne dzieło Jerzego Sorela „Reflexions sur la violence" uważał za genjalne. Hasła syndykalizmu pociągały go i tem, że zrzeszonych ludzi pracy mogą oddalić od walk partyjnych i parlamentarnych. Idąc za myślą Sorela sądził, że związki, oparte wyłącznie o interesy pracy i wytwórczości, związki zataczające coraz szersze kręgi, siłą rzeczy przeinaczą ustrój socjalny. Stąd przyjdzie „zburzenie świata łotrostwa i wyzysku ludzi przez ludzi". Proletarjat zjednoczony w związkach zawodowych, niepartyjnych, „weźmie na siebie rolę wielkiego promotora, rolę wodza i twórcy historji" Potęga jego niezwalczona będzie polegała na „zorganizowaniu mechanizmu produkcji wszystkiego, czem ludzkość żyje" i oto z tego świata zorganizowanej pracy narodzi się nowa moralność. Moralność wytwórców. „Zasadniczą jej cechą — czytamy w „Początku świata pracy" — będzie dążenie do ocalenia cywilizacji. Siła entuzjazmu i siła cnoty zrodzonej w pracy, wytworzą motor, który prowadzić będzie ludzkość po drodze postępu. Człowiek nowy pozostanie w warunkach życia skromnego. Wszystko składając na ołtarzu odkupienia i odrodzenia mas, nie będzie liczył na sławę w jej dzisiejszem rozumieniu, w pojęciu błyszczenia, zwracania roztargnionej uwagi tłumów i podobania się za wszelką cenę. Jego czyn będzie czynem wolnym i posiądzie sławę istotną wśród ludzi wolnych".

Czy zwycięstwo takie osiągnąć można tylko poprzez rewolucję?

Stefan Żeromski przytacza św. Tomasza z Akwinu, który w dziele swem p. t. „Summa Theologiae", w rozdziale o rewolucji (werset 42) aprobuje zasadę rewolucji pod jednym warunkiem, iż nie przyniesie ona szkody masom ciemiężonym. Rewolucję bolszewicką Żeromski potępił, jako „błąd fatalny" ze strony tych, którzy „stan i tytuł proletarjatu uważali za dostateczny motyw i zasadę przedzierzgnięcia nędzarza w pana, a natomiast stan i tytuł pana, bogacza, za motyw i zasadę zepchnięcia człowieka w przepaść męki i głodu, w to właśnie miejsce, gdzie proletarjusz leżał do niedawna". Dwie są drogi zmian idących i nieodwołalnych. Albo rewolucja, o której „nikt a nikt nic nie wie, dokąd ona zajdzie", albo dobrowolna na rzecz ducha czasów ofiara, świadoma i szybka reforma, czyli „zabiegnięcie rewolucji drogi naprzełaj".

Wystąpienia społeczne Stefana Żeromskiego w latach ostatnich płynęły zarówno z wielkiego cierpienia na widok niedoli i nędzy ludzkiej, jak i z trwogi najwyższej, że w Polsce może „lać się krew i rozpasać się chamstwo stratowanego, biednego człowieka".

Idealizm społeczny Stefana Żeromskiego pozbawiony był tego optymizmu, który w imię swej wiary upiększa sobie rzeczywistość fikcją i złudzeniem. Żeromski patrzył na życie szeroko otwartemi oczyma. Możnaby raczej powiedzieć, że wyolbrzymiał zło, które go przerażało, niż przeciwnie. Rzeczy ujemne, rzeczy straszne w człowieku, w społeczeństwie i w państwie badał z prawdziwą pasją, „rozdrapując rany, żeby nie zarosły błoną podłości". Uderzał często w ton tragiczny, w ton największej grozy. Pod tym względem, mimo ogromne różnice psychologiczne i narodowe, można go porównać z Dostojewskim. Nie to samo, ale podobne podpatrywanie satanicznych pierwiastków natury ludzkiej, podobne przenikanie świata wszelkiej potworności, aż do najbardziej utajonych jej zakamarków. Był jednak równie nieustraszony w patrzeniu na zło, jak wielki i wspaniały w swym entuzjazmie dla piękna człowieka i dla piękna życia, a to znów, w porównaniu z Dostojewskim, stawiało go na przeciwległym biegunie.

Ani w powieściach, ani w pracach publicystycznych Stefana Żeromskiego nie było optymizmu w zwykłem znaczeniu tego wyrazu. Żeromski chciał dojrzeć wszystko zło współczesnego świata, zwłaszcza zło, dziejące się w Polsce. Poto, żeby zrozumieć, żeby wiedzieć, jak i jakiemi drogami ma się odbywać dzieło naprawy. I dlatego właśnie idealizm Stefana Żeromskiego, nie płynący z optymistycznej oceny rzeczywistości, lecz zdający sobie sprawę zarówno ze zła czasów, jak i z wielkiego trudu, jakiego będzie wymagała odmiana ku lepszemu, był idealizmem najwyższego gatunku: wytrzymał próbę cierpienia.

Stefan Żeromski był do głębi przejęty wielkością epoki, która niesie rodzajowi ludzkiemu zapowiedzi zmian i przeistoczeń nieznanych dziejom.

Józef Wasowski

„6 DNI ZAROBKU — 5 DNI PRACY"

Dziesiątki miljonów osób znalazły się poza obrębem produkcji. Maszyna wyrugowała pracę robotnika. Automat — zamiast człowieka — oto prawo rozwoju techniki współczesnej. Pod naciskiem tego prawa rozwija się organizacja wytwarzania kapitalistycznego.

Wpływ maszyny może być zahamowany przez zwiększenie zapotrzebowania na pracę w innych działach przemysłu, lub też przez zmniejszenie ilości pracy poszczególnego robotnika.

Stosunek między siłą wytwórczą maszyn, czasem pracy i płacą jest stosunkiem wzajemnej zależności.

We wszystkich okresach rozwoju długość czasu pracy związana była z poziomem rozwoju technicznego. Postęp techniczny, który się dokonał w stuleciu 19-ym pozwolił na przejście od 12 godzinnego dnia pracy na 8-io godzinny. Obecny rozwój techniki wyprzedził już znacznie ten okres, kiedy 8-io godzinny dzień pracy był racjonalnym wykładnikiem tempa wytwórczości.

Dzisiaj trzecia część zatrudnionych robotników wystarczy — przy dotychczasowym czasie pracy — dla utrzymania produkcji.

A reszta, reszta, której nie może wchłonąć żadna gałęź gospodarstwa, ani w kraju, ani zagranicą?

Czyż ma zginąć tak, jak giną niepotrzebne dla kapitalistów olbrzymie zapasy surowca i środków spożywczych? — Oczywiście, nie! — I nietylko ze względów społecznych, nietylko ze względu na interes tej armji ludzi dzisiaj niepotrzebnych, ale także i ze względów gospodarczych. — Stopa wytwarzania musi być harmonijnie skojarzona ze stopą spożycia — inaczej załamują się podstawy nietylko indywidualnego przedsiębiorstwa, lecz całego systemu gospodarczego.

Konieczność przystosowania czasu pracy do poziomu rozwoju technicznego jest tedy oczywista — tak oczywista, że nawet przedsiębiorcy — w szerszym zakresie myślenia — uważają za potrzebne stosować tę zasadę już dzisiaj w praktyce.

W zakładach Forda pracuje się tylko przez 5 dni w tygodniu. W podobnych warunkach pracuje w Stanach Zjednoczonych przeszło pół miljona robotoników. Czas ich pracy wynosi przeciętnie nic więcej niż 40 godzin na tydzień.

W Niemczech skrócono czas pracy do 40 godzin w całym szeregu zakładów w przemyśle elektrotechniczym, chemicznym, w przedsiębiorstwach rządodowych i samorządowych.

To samo dotyczy Anglji, Włoch i Czechosłowacji.

We wszystkich krajach przemysłowych sprawa czasu pracy jest dzisiaj badana skrupulatnie, a w niektórych powoływane są przez rządy w tym celu specjalne komisje.

Instytut badania konjunktur gospodarczych w Niemczech obliczył, że skrócenie tygodnia pracy do 40 godzin na tydzień da możność zatrudnienia nowych 1.500.000 osób, zaś skrócenie do 44 godzin 700.000 osób.

Komisja, zwołana przez Rząd Rzeszy, pod przewodnictwem b. Ministra Pracy Braunsa, dla spraw walki z bezrobociem uznała wprowadzenie 40 godzinnego tygodnia pracy, — przy dzisiejszym stanie techniki — jako jeden z najskuteczniejszych środków walki z bezrobociem.

W Austrji Minister Administracji Społecznej zarządził specjalną ankietę o skróceniu czasu pracy. W Belgji ustanowiono komisję ankietową. To samo w Danji. W Ameryce utworzono przy Prezydencie Stanów Zjednoczonych Nadzwyczajny Komitet dla spraw walki z bezrobociem, który specjalną wagę poświęcał badaniom czasu pracy. Komitet ten uznał że skrócenie czasu pracy winno być podstawą walki z bezrobociem.

Ostatnio wypowiedział się za 5-dniowym tygodniem pracy rząd Stanów Zjednoczonych — i to nietylko w okresie przejściowym, lecz na stałe.

Sprawa ta została obecnie jeszcze bardziej zaktualizowana, dzięki wniesieniu jej na porządek obrad specjalnej Międzynarodowej Konferencji Pracy, która będzie zwołana przez Międzynarodowe Biuro Pracy w styczniu r. 1933. Będzie to techniczna konferencja przygotowawcza przedstawicieli rządów. pracodawców i robotników. W ten sposób zagadnienie to wyszło poza obręb rozważań klasy robotniczej jako czynnika bezpośrednio zainteresowanego i stało się dzisiaj zagadnieniem ogólnem o wielkiem znaczeniu gospodarczem.

Skrócenie czasu pracy może się odbyć w praktyce w najróżniejszej formie, przybiera jednak najczęściej formę hasła — 40-godzinnego tygodnia pracy. Niema ono, oczywiście, na celu zmniejszenia produkcji, lecz umożliwienie podziału tej samej ilości pracy między większą liczbę pracujących, pozostawiając stan natężenia produkcji niezmieniony.

Przy przeprowadzeniu tej reformy ujawnia się zasadnicza sprzeczność interesów między kapitałem a pracą.

Organizacje robotnicze, wysuwając hasło 40-godzinnego tygodnia pracy, łączą je nierozerwalnie z utrzymaniem płac conajmniej na dzisiejszym poziomie — co oznacza *powiększenie płacy* za jednostkę czasu pracy. Tak pojęte jest to hasło przez wszystkie organizacje robotnicze, tak było formułowane na kongresach międzynarodowych i krajowych w Anglji i w Niemczech, we Francji i w Czechosłowacji. Najpopularniej wyrażono zasadę tę w Ameryce: „6 dni zarobku — 5 dni pracy".

Natomiast projekty skrócenia czasu pracy, wysuwane przez przedsiębiorców — a jest tych projektów mnóstwo — sprawę płacy traktują inaczej. Godzą się oni na skrócenie dnia roboczego, uważają jednak za naturalny wynik tej akcji — odpowiednie zmniejszenie płacy roboczej. Tym samym cała ta reforma ograniczyłaby się jedynie do pewnej zmiany kalkulacji w zakresie poszczególnego przedsiębiorstwa — bez żadnych ogólniejszych skutków gospodarczych a z krzywdą dla poszczególnego robotnika.

Byłoby to utrwalenie istniejącego już w praktyce bezrobocia częściowego, a cały ciężar tej reformy obciążyłby znowu tylko robotników, obniżając płace ich poniżej, zdawałoby się, wszelkich możliwości.

Pan Charles S. Dewey, były doradca finansowy Rządu Polskiego pisze w swem sprawozdaniu za drugi kwartał r. 1930 o płacach w Polsce: „Czasami czynione są próby usprawiedliwienia niskich płac w Polsce nizkiemi cenami artykułów spożywczych, lecz jeśli polski robotnik musi wydać z każdych 10 zł. od sześciu do siedmiu złotych na żywność, to zna-

czy, że jego stopa życiowa jeszcze znajduje się prawie na poziomie pierwotnym."

Jeżeli stopę życia robotnika polskiego z r. 1930 — nazywano „stopą na poziomie prawie pierwotnym", jak nazwanoby ją dzisiaj, kiedy płace robotników od tej pory zmniejszyły się niemal o jedną trzecią? Czyż można je obniżyć jeszcze bardziej? Czyż może koszta skróconego dnia roboczego ponosić tylko robotnik?

W razie obniżenia płacy, krótszy dzień roboczy oznaczałby dla poszczególnego robotnika jeszcze większe obniżenie poziomu życia. Wynik gospodarczy takiej manipulacji byłby tedy żaden — a w ostatecznym wyniku powodować mógłby nawet pogłębienie się kryzysu, zmniejszając jeszcze bardziej popyt poszczególnych spożywców na towary przemysłowe.

Klasy posiadające łączą walkę z kryzysem z obniżką kosztów produkcji i godzą się na skrócony dzień roboczy tylko o tyle, o ile nie podwyższy to kosztów robocizny.

Przy każdorazowej reformie społecznej — we wszystkich okresach rozwoju i krajach — powtarzały się, zresztą, te same argumenty.

W pierwszej połowie w. 19 pisał w Anglji N. W. Senior: „Jeżeli skróci się czas pracy o godzinę, wówczas zniknie czysty zysk, jeżeli zaś — 1 i pół godziny — zniknie także i zysk brutto". — Pracowano wówczas przeszło 12 godzin a dyskusja toczyła się w sprawie skrócenia czasu pracy dzieci.

Obecnie — na jednej z Międzynarodowych konferencji Pracy — przedstawiciel przemysłowców francuskich oświadczył, że ci, którzy cierpią dzisiaj wskutek warunków gospodarczych, muszą dalej cierpieć, gdyż nic na to poradzić nie można tak długo, aż sama gra sił ekonomicznych doprowadzi do poprawy położenia.

Podobnie było i w Polsce. W czasie uchwalenia ustawy o 8-mio godzinnym dniu pracy przemysłowcy polscy nie stawili większego oporu, gdyż było to w okresie inflacyjnym, kiedy koszta robocizny stanowiły minimalną część kosztów ogólnych produkcji. Rozpoczęli atak dopiero z chwilą stabilizacji waluty.

Temniemniej jednak wszystkie reformy wprowadzające skrócenie czasu pracy oparte były na zasadzie niezmniejszania zarobków. Ustawy o 8-mio godzinnym dniu pracy w wielu krajach — także i w Polsce — zawierają wyraźne takie postanowienia.

Zagadnienie, kto ma ponosić koszta reform społecznych jest nietylko sprawą zasad, lecz wzajemnego ustosunkowania się sił społecznych.

Zasada 8-mio godzinnego dnia roboczego, o którą walczono w ciągu lat trzydziestu, wprowadzona była w życie — na drodze ustawowej — w ciągu kilku tygodni, a w niektórych państwach — w Polsce i w Niemczech — jednego dnia.

Było to w pierwszem miesiącu zakończeniu wojny światowej. Było to w czasie niezwykłego napięcia walk społecznych 1918 roku.

Trudno przewidzieć, w jakich warunkach wprowadzony będzie w życie postulat 40-godzinnego tygodnia pracy w myśl żądań robotniczych. Jedno jest pewne: bieg zdarzeń idzie w tym kierunku.

Dr. Eug. Praglerowa

ODGŁOSY

DLA WIDZÓW — NIE DLA GAPIÓW

Kino. Dodatek nadprogramowy. Kronika filmowa krajowa, a więc przegląd ważnych aktualności w życiu Polski dzisiejszej.

Cóż nam się ukazuje na ekranie?... Z minimalnemi zmianami to samo, co nam prezentowano miesiąc temu, trzy miesiące temu, pół roku temu, rok temu.

A więc: wojsko i cywilni dygnitarze, państwowi, komunalni i — jak powiedziałby ks. Pirożyński—„tacy sobie". To wszystko otoczone mniejszym lub większym tłumem. Sztandary, mównice, orkiestry, wieńce. Tło: gmachy i place mniej lub więcej reprezentacyjne, średnie i „takie sobie". „Z powodu?" Z powodu tego lub owego obchodu, uroczystości, jubileuszu, rocznicy, akademji, różnego typu „poświęcenia", „otwarcia" i „odsłonięcia".

Uderzcie się w piersi, panowie kierownicy produkcji kronikarsko-filmowej: czy pokazujecie nam co innego? Czy w kraju o 30 miljonach ludności istotnie nic ciekawego się nie dzieje, w żadnej dziedzinie życia zbiorowego? Czy od widza kinoteatru nie wymagacie, zbyt wielkiego *poświęcenia*, by mu wystarczyło *odsłonięcie* na ekranie jeszcze jednego *otwarcia?...* Czy prócz wrażeń podniośle-galowych nie należą mu się również wrażenia pouczająco-codzienne? Czy w dziedzinie polskiego przemysłu, handlu, rolnictwa, transportu, szkolnictwa, opieki społecznej, robót publicznych, pracy zawodowej fizycznej i umysłowej, życia miast i wsi, kopalń, fabryk i warsztatów, — w najszerzej rozwiniętym obrazie rozbudowy Polski dzisiejszej nie znaleźlibyście mnóstwo informacyjno - pouczających momentów, zasługujących na ujawnienie ich obywatelowi i tem samem na rozumną propagandę wartości naszego społecznego budownictwa?...

Celem kroniki filmowej nie jest chyba do umęczenia monotonne reklamowanie podobizn osobistości, doskonale każdemu obywatelowi znanych? I wiemy, że o to wam nie chodzi. Że to poprostu nałóg, inercja, wygodne, leniwe niesuszenie sobie głowy, a może naiwnie pojęta obowiązkowość. Również nie może być celem krajowej kroniki filmowej sugerowanie przeciętnemu widzowi, że facies jakiegoś burmistrza czy starosty w uroczystej pozie jest bardziej ciekawa i utrwalenia na taśmie godna niż choćby... produkcja i eksport bekonów, z dodaniem poglądowej mapki orjentacyjnej, pokazującej rozmieszczenie tego przemysłu na ziemiach Rzplitej. Z cyframi. Nie bójcie się, że to go znuży. Bardziej go nuży monotonja nakręcanych spektaklów. Chce on widzieć Polskę na codzień, nietylko Polskę od święta, Polskę pracy — nie Polskę parady. Tematów prawdziwie interesujących nam nie zbraknie.

Trzeba tylko mieć trochę samokrytycyzmu inicjatywy, ambicji, no i pozbyć się lekceważenia konsumenta.

Wtedy zaczniecie produkować kronikę filmową, *dla widzów*, a nie — jak dotychczas — *dla gapiów!*.

„Epoka" jest pismem niezależnem od żadnej partji czy grupy politycznej.

REFLEKSJE

MASKARADA

Rządowy projekt nowej ustawy o szkołach akademickich narusza autonomję wyższych uczelni i może zagrażać wolności nauki. Daje ministrowi oświaty broń polityczną. Wprowadza ducha biurokracji na teren, gdzie duch taki niesie niebezpieczeństwa największe.

Słusznie mówi profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, znakomity filolog, dr. Tadeusz Sinko:

„Wszelkie reformy centralistyczne zdążają do włączenia profesorów w schematyzm urzędniczy i do zbiurokratyzowania uniwersytetów. Nieodzowną towarzyszką biurokracji jest — lista kwalifikacyjna, którą ma się prowadzić dla każdego profesora, jakby np. samo punktualne, sumienne, przepisowe wykonywanie obowiązków nauczycielskich (bo to tylko da się zewnętrznie skontrolować) wyczerpywało już zawód profesorski, wymagający przecież przedewszystkiem twórczości naukowej. A któż ma kwalifikować tę twórczość i oceniać jej wartość? Profesor zbiurokratyzowany, to dziś u nas na szczęście pojęcie niezwykłe. Powiadamy „na szczęście", bo według słusznej opinji J. Tewsa („Schulkaempfe der Gegenwart") „wszelka organizacja, która pracę szkolną, zwłaszcza uniwersytecką, schematyzuje, mechanizuje, biurokratyzuje, jest nieszczęściem szkoły".

Świat naukowy polski stanął solidarnie w obronie swej wolności. Zaiste, chodzi o rzecz poważną. Doświadczenia przeszłości wskazują, że uczelnie wyższe, korzystające z pełnej autonomji, dobrze zasłużyły się postępowi wiedzy i najwydatniej przyczyniły się do podniesienia intelektualnego poziomu społeczeństwa. Uczony — czy w swej pracowni, czy na katedrze — nie skrępowany ingerencją zewnętrzną, może pełnić swoje dzieło i rozwijać swe myśli bez przeszkód, niemających nic wspólnego z wymaganiami pracy naukowej.

Praca i twórczość naukowa mają ze sobą długą historję walki o swą wolność, historję z niejedną kartą martyrologji i ze znakami nieśmiertelnej chwały tych, którzy zasadę wolności myśli i nauki wznieśli do rzędu podstawowych wartości cywilizowanego świata. Nic tedy dziwnego, że wszelka i z różnych pobudek płynąca tendencja do naruszenia zasady, długotrwałym trudem zdobytej i dobremi owocami usprawiedliwionej, budzi niepokój, nawet alarm. Budzi trwożne pytanie, po co wykrzywiać linję postępu w dziedzinie, która powinna rozwijać się niezależnie i jaknajdalej od przemijających racji politycznych, czemu tworzyć niedobry precendens, który mógłby być wyzyskiwany w zamiarach i celach, obcych sprawom nauki.

W obronie słusznej zasady stają nietylko najbardziej zainteresowani, t. j. pracownicy naukowi. Łączą się z nimi ci również, którzy rozumieją doniosłość sprawy, którym jest ona droga i ważna.

Komu jest droga i ważna?

Trzeba zadać to pytanie, bowiem w szeregach obrońców dobrej zasady znajdują się ludzie, najmniej do jej obrony powołani. Któż to woła dziś najgłośniej w obronie wolności nauki? Jacy to opiekunowie wolnej myśli naukowej stanęli na rynkach politycznych i biją na alarm?

Przyjrzyjmy się im bliżej. Ujrzymy całe czeredy komedjantów z maskami na twarzach, handlarzy partyjnych, demagogów kłamliwych i cyników, którym o całkiem inną sprawę chodzi. Co za widowisko: w obronie wolności nauki, stanął żywioł, którego myśl, sposób działania, poziom i charakter przeczy wszystkiemu, co jest dążeniem, ambicją i chwałą nauki. Pomyśleć tylko: zastęp szowinistów, obskurantów, klerykałów—w obronie wolności pracy naukowej! Organizatorzy burd ulicznych, siewcy nienawiści i ciemni wstecznicy, którzy samem swem istnieniem obrażają myśl naukową, wznoszą okrzyki na cześć wolnej wiedzy ludzkiej. Oni! Właśnie oni! Właśnie... „Obóz Wielkiej Polski". Źle zrobiona komedja. Szydło wyłazi z worka: chodzi tylko o grę partyjną, jedynie i wyłącznie o walkę polityczną bez cienia troski o sprawy naukowe.

Nauka i oni! Dwa przeciwieństwa najkrańcowsze. Dwa bieguny. Na jednym — szlachetna twórczość, postęp świata, budowanie mądrzejszego jutra. Na drugim — gaszenie świateł, ciemna noc i orgja najniższych instynktów.

Lecz niema komedji zrobionej tak fatalnie, żeby się już nikomu podobać nie mogła. To też i ci „obrońcy" wolności nauki niemały zamęt wprowadzają w umysłach.

Trzeba się od nich odgrodzić najwyraźniej, żeby społeczna obrona dobrej sprawy nie była wypaczona przez udział politycznych komedjantów.

Widz

TEATR

UMUNDUROWANE DZIEWCZĘTA

W miarę rozwoju nauki psychologji, szczególnie jedna jej dziedzina zyskuje sobie coraz szerszy zastęp popularyzatorów, — wychowanie, oparte na najnowszych zdobyczach wiedzy, a co zatem idzie, zbliżające się z coraz większą bezpośrednością do potrzeb dziecka. Jeśli szerokie masy społeczeństwa widzą w wychowaniu swój większy, że tak powiem „interes", niż w innych nie mniej ważkich i nie mniej ciekawych dziedzinach psychologji, — to popularyzatorzy wiedzy o wychowaniu znowu najczęściej, a jaknajniesłuszniej, ograniczają się do najbardziej „sensacyjnych" stron wychowania, — do erotyzmu dziecięcego i do erotyzmu dorastającej młodzieży.

Erotyzm ów — to bodaj, że najdrażliwsze zagadnienie naszej moralności społecznej. Czasami, niby zbłąkany pocisk, zawarczy nad Polską i przeleci wieść o wielkiej wojnie, jaka oddawna toczy się na zachodzie Europy, w Rosji i w Ameryce. Dzięki gorliwości niektórych popularyzatorów psychologji, erotyzm dziecięcy stanął przed forum opinji publicznej i woła, by go uznano za naturalny i uwzględniono w praktycznem stosowaniu wiedzy o wychowaniu dziecka.

Dotychczas samo dziecko „uwzględniało" swój erotyzm, zdala od czujnych oczu starszego pokolenia, cierpiącego na chroniczny niedorozwój pamięci. Istotnie, trudno o większe „zapomnienie", o dokładniejsze wymazanie jakowegoś faktu ze świadomości ludzkiej, niż *niepamięć* człowieka o jego własnem dzieciństwie, o tym przedziwnym stanie jaźni, do którego temwięcej się tęskni, im bardziej się go niepamięta. Właśnie wskutek generalnego zapoznania dzieciędztwa, specyficzny erotyzm dziecka stał się dla dorosłych zjawiskiem „nienormalnem".

Przypominanie ludziom rzeczy, o których nie chcą pamiętać — to chyba jedna z najniewdzięczniejszych sztuk. Jeśli zapominanie jest nierzadko *organiczną koniecznością,* nie znaczy to wszakże, by przypominanie miało być faktem niepożytecznym. Cała rzecz w tem, by było ono taktowne i umiarkowane.

Pani Krystyna Winsloe, autorka sztuk „Dziewczęta w mundurkach", granej obecnie z powodzeniem w warszawskim Teatrze Kameralnym, należy do tego grona pisarzy, którzy uwzględniając w swych utworach erotyzm dziecięcy, umieją jednak przypomnieć go dorosłym w sposób nadzwyczaj dyskretny. Skutek jest ten, iż większość widzów akceptuje wewnętrznie miłość uczenicy Manueli do panny Bernburg, nauczycielki, jako coś nie wybiegającego poza granice „naturalności". Dopiero dokładniejsze zastanowienie się nad treścią sztuki, odsłoni cały jej ukryty sens, — potrzebę kochania, potrzebę cielesnej pieszczoty, potrzebę „zdobycia" ukochanego objektu, jakie odczuwa Manuela, czternastoletnia bohaterka. Cała siła tych potrzeb, jakże naturalnych!, wypływa na jaw dopiero przy końcu sztuki, kiedy Manuela samobójstwo popełnia, nie będąc w stanie przeżyć *niezaspokojenia* pragnień swej miłości.

Dyskretna sztuka p. Winsloe, podniecająca i uspakająca naprzemian „moralne sumienie" przeciętnego widza, porusza inną jeszcze, niemniej doniosłą sprawę wychowania, a mianowicie jego *państwowość.* Wprowadza nas autorka do wzorowego zakładu dla córek bogatych junkrów niemieckich, pragnących chować swe dzieci na żołnierzy i na matki żołnierzy. „Umundurowanie" życia szkolnego i wychowywanie dzieci hurtem, bez względu na ich indywidualne potrzeby i właściwości, a przeciwnie, w celu nadania poszczególnym jednostkom wszystkich cech karnej i bezmyślnej trzody, oto główne wytyczne systemu „wychowania państwowego", przeciw któremu protestuje autorka w osobie nauczycielki von Bernburg.

Mocno zarysowane przez autorkę, a nader różniące się typy dziewcząt doskonale wypadły w interpretacji żeńskiej połowy Teatru Kameralnego. Wśród nich na plan pierwszy wysuwa się p. Jadwiga Andrzewska w trudnej i niebezpiecznej roli Manueli. Brak rutyny aktorskiej raczej ułatwił zadanie p. Andrzejewskiej, a jej wiek młodociany, bliższy wiekowi dziecięctwa, niż dojrzałości kobiecej, nadał postaci Manueli wszystkie cechy prawdy psychologicznej. Nie aktorkę podziwiamy w p. Andrzejewskiej, ale „cudowne" jeszcze dziecko, obdarzone nie rutyną aktorską, która jakże często zawodzi, lecz intuicją. Tam, gdzie każda aktorka *zgrywaćby się musiała,* p. Andrzejewska wnosi specyficzną dynamikę dziecięcą, porywającą widzów swą bezpośredniością, swem naturalnem — *jestem!* Zarówno rozmach, jak natężenie ekspresji, każą wróżyć p. Andrzejewskiej wielką przyszłość na scenie. Nie widać, zda się, granic możliwości tego talentu, którego przemoc sugestywna rwie i pociąga nasze oczy, uszy, serca, każąc długo jeszcze po spektaklu myśleć o sobie, jako o zjawisku na scenie naszej niezwykłem, szczerozłotem.

Teatr Kameralny, posiadający taki magnes, może być pewien powodzenia. Jeśli reszta zespołu godnie spełnia rolę oprawy tego klejnotu, jeśli całość widowiska, właśnie, jako całość, sprawia niezapomniane wrażenie, główną w tem widzę zasługę p. Zofji Modrzewskiej, — sumiennego, wnikliwego, twórczego reżysera.

J. K.

WYCHOWANIE W KLASZTORZE

Dwa i pół roku w klasztorze, to może nie jest dużo, wystarczyło wszakże do wyrobienia sobie zdecydowanego poglądu na wychowanie klasztorne młodzieży.

W klasztorze naszym było ponuro, wilgotno i zimno. W wielkich salach stłoczono gęsto szeregi łóżek, które latem i zimą trzeba było opuszczać o 6-ej zrana, aby po półgodzinie znaleźć się w kaplicy. Po nabożeństwie — pół godziny gimnastyki i śniadanie złożone z miseczki zupy i plasterka czarnego chleba, następnie zajęcia gospodarskie: obieranie kartofli, zmywanie naczyń i sprzątanie gmachu.

Najgrzeczniejsza z dziewczynek klasy otrzymuje po pewnym czasie funkcję „Anioła Stróża", która obejmuje: dopilnowywanie sprawowania się klasy i sprzątanie ubikacji. Miał to być wypróbowany środek zachęcający do dobrego sprawowania... Już w lecie nie było to przyjemne, a zimą wyglądało w ten sposób, że ścierkę zanurzoną w ukropie wyżymało się po przeciągnięciu jej po kamiennej podłodze chrzęszczącej lodem.

Obieranie kartofli odbywało się w nieopalonej sali z również kamienną podłogą, a dziewczynki z odmrożonemi rękami przeznaczone były do zmywania. (Świetna kuracja: dłuższe zanurzenie rąk w ciepłej wodzie i potem dłuższe przebywanie w lodowatej atmosferze z mokrym talerzem i mokrą ścierką w ręku). Osobiście miałam ręce tylko popuchnięte i czerwone, ale były koleżanki, z rękami o ropiących ranach, całą zimę obandażowanemi i na temblakach.

Od 10-ej do 1-ej trwały lekcje, nadchodził obiad (luksusową potrawą niedzielną był ryż na sucho, mięsa nie oglądaliśmy nawet zdaleka), po którym była półtora godzinna rekreacja dla starszych. My, młodsze, chyba dlatego, że słabsze, musiałyśmy w ciągu tego czasu pozmywać po obiedzie, nanosić z piwnicy kartofli (dla przeszło stu osób) i nanosić wody. Wodę brało się z pompy niedaleko zabudowań, ale zimą pompa zamarzała i wtedy wędrowało się do rzeki. Klasztor ma piękne położenie: z wysokiego (zgórą trzy piętra) brzegu prowadzą szerokie kamienne schody do rzeki, po tych schodach windowało się dwunastoletniemi ramionami wiadra wody rozchlapującej się i zamarzającej po drodze na ubraniu i rękach.

Od 3-ej do 7-ej znowu lekcje i ich odrabianie na dzień następny, potem kolacja i po półgodzinnej rekreacji i tyleż trwających pacierzach — spanie. W wielkich sypialniach, pustych w ciągu dnia, okna obrastały grubą powłoką szronu, który nocą pod wpływem cieplika kilkadziesięciu ciał zaczynał tajać i kropla po kropli, w końcu ciurkiem ciekła woda po ścianach, lub do stojących pod oknami łóżek.

Poza zwykłym porządkiem dnia powszedniego odbywały się, zależnie od pory roku w godzinach rekreacyj, czasem kosztem skasowanych lekcyj, czasem kosztem wstawania o 4-ej, prace w ogrodzie. Sadzenie, plewienie, podlewanie, kopanie i kopcowanie jarzyn i kartofli, lub w lutym, marcu wydobywanie ich z kopców. 14-sto godzinny dzień był szczelnie wypełniony, niemal że samą tylko pracą, a przecież dziś już ludzie dorośli pracują tylko 8 godzin dziennie.

A teraz coś niecoś o wychowaniu. Przyzwyczajanie do pobożności — więc codzienna msza i długie pacierze, w sobotę i niedzielę nieszpory, w maju — nabożeństwa majowe, w czerwcu i październiku różaniec, w poście Stacje Męki Pańskiej. Długie godziny przeklęczane w kaplicy z nogami skostniałemi od mrozu, lub w cudownie piękną pogodę, kiedy się dusza rwała do swobody, powietrza i słońca — długie godziny spędzane na bezmyślnem powtarzaniu litanij i Zdrowasiek, bo któż zdoła zmusić kilkunastoletni umysł do skupienia uwagi na jednych w kółko powtarzanych słowach modlitwy. Stworzenia przeczulone i skłonne do egzaltacji, jakiemi są dziewczęta w wieku lat 12—16-stu, wpadają w trans religijny, w dewocję, która po wyjściu z pod przymusu klasztornego kończy się najczęściej przerzuceniem się do zupełnej areligijności. Często też opanowywała nas niechęć do praktyk religijnych, zabierających tyle czasu, że nie starczy go już wcale na rozrywkę, której tak bardzo potrzebuje młoda istota.

Wyrzeczenie się, umartwienie i praca w pokorze ducha — stanowią punkty wytyczne programu pedagogicznego. W myśl przysłowia o mowie - srebrze i milczeniu - złocie, życie klasztorne posiada bardzo nieliczne chwile wolne od milczenia. Są to 10-cio minutowe pauzy między lekcjami, czas posiłków i dwie rekreacje; wszelkie inne czynności z rozbieraniem i ubieraniem włącznie, odbywać się muszą w bezwzględnej ciszy. A, żeby nie było czasu na samodzielne myśli, podczas godzin pracy fizycznej czytanie lub opowiadanie, którego siłą rzeczy trzeba słuchać. W ścisły rygor ujęty był dzień każdy — rygor zrozumiały może dla dorosłych kobiet, które z takich, czy innych powodów zrezygnowały z własnego życia, ale męczący istoty młode, żywe, rozwijające się. Ani chwili czasu na przemyślenie rzeczy słyszanych i oglądanych, na podzielenie się myślą z rówieśnicami, ani wreszcie nawet na odpoczynek, bo czyż można nazwać odpoczynkiem rekreację, podczas której chcąc niechcąc musiano się bawić w „Ojca Wirgiljusza", lub „Lata ptaszek"... czy słuchać opowiadania bajek, bez względu na humor i samopoczucie? Opowiadanie bajek przypada zwykle na rekreacje wieczorne. Są to historje o ósmej żonie Sinobrodego, która zakradłszy się do tajemniczej komnaty, znalazła w niej porąbane członki swoich poprzedniczek; o rodzinie masońskiej i komnacie napełnionej zakrzepłą krwią, w której to galaracie tkwił połamany Krucyfiks. Cóż dziwnego, że potem nocą nie starczyło odwagi nawet w razie bardzo pilnej potrzeby na przebycie ciemnego korytarza samotnie, a towarzystwo w danych wypadkach było surowo zabronione.

Pieczołowite strzeżenie moralności wymagało, żeby w pewnych ubikacjach, których zresztą było kilka, znajdowała się wyłącznie jedna osoba. Dostawało się tam jedynie za biletem wydawanym przez „Anioła Stróża" klasy, na który można było czekać godzinę i dwie w kolejce kilkudziesięciu osób.

System wychowania „moralnego" wywoływał dociekanie: skoro pewna dziedzina fizjologji jest tak starannie pilnowana, to znaczy, że w tym zakresie można zrobić coś złego, ale co? To samo w kwestji rozwoju fizycznego. Dziewczynka, która krwotokiem z nosa zbrudziła ręcznik, została zawezwana na tajemniczą konferencję, aby usłyszeć od wzburzonej siostry: coś ty z tem robiła, to jest wprost okropne, jak ci nie wstyd!... Wystarczy, aby wpoić przekonanie, że krew to coś strasznie niemoralnego, aby, kiedy nadejdzie rozwój, dziewczyna, zamiast rozumieć zupełną naturalność tej sprawy, wpadała w rozpacz i psychozę na tem tle.

Osiem lat to sporo czasu i może do dziś wiele rzeczy się zmieniło. Jedno pozostanie niezmienne: zakonnica, to człowiek, który się swego życia wyrzekł, którego ideałem jest poświęcenie i umartwienie, który jest całkowicie odsunięty od bieżącego życia i jego zagadnień. Do tego ideału stara się wychowanie klasztorne nagiąć młodzież, którą ma pod swoją opieką; dobrowolnie dla siebie stworzony kaganiec chce nałożyć bujne rozwijającej się młodości.

W imię ratowania od grzechu? Może. A może też troszeczkę naskutek tkwiącego na dnie duszy zgorzknienia i buntu przeciw idealnemu wyjałowieniu swoich dni ze wzruszeń i przeżyć.

Może też troszeczkę w imię podświadomej urazy do tej młodości, która dopiero będzie pełnemi haustami piła treść życia, jego radości i bóle.

To się nie zmieni ze zmianą warunków zdrowotnych i rozkładu godzin nauczania i pracy.

I jeszcze jedno. Maleńki światek odcięty od szerokich zagadnień wielkiego świata pełen jest zatęchłej atmosfery maleńkich sympatyj i sympatyjek, uraz i nienawiści, intryg, plotek, wzajemnego oskarżania, donosicielstwa, wkupywania się w łaski — wszystko to pod maseczką słodko fałszywej pobożności.

Zatęchła atmosfera wody od wieków stojącej w zamkniętem naczyniu, nigdy nie odświeżanej bieżącym nurtem życia.

Dla młodej wrażliwej psychiki marynowanie jej w takiej atmosferze jest bolesną krzywdą, tem boleśniejszą, im wrażliwsza psychika i im dłużej trwa to staranne wychowywanie.

Irma Brudnicka

JAWNE SPRZYSIĘŻENIE

Przypatrzmy się tym dwu wyrazom, napozór sprzecznym ze sobą i wywołującym zdziwienie, gdy się je widzi tak blisko siebie stojące. Dużo jest danych na to, iż termin „Jawne Sprzysiężenie" powielekroć jeszcze otrze się nam o uszy, że aforyzm tkwiący w pojęciu jawnego spisku stanie się powszechnem hasłem gruntownej przebudowy społecznej i do potomności przejdzie jako symbol, ogarniający jednem powiedzeniem całą treść najbliższych nam lat, cały przewrót, jakiego spodziewamy się wszyscy w niedalekiej przyszłości, widząc rysy na ścianach i słysząc trzaski sklepienia, grożącego runięciem. „Jawny spisek" jest wszakże nie tylko uderzeniem młota o fundamenty walącego się domu, lecz przedewszystkiem planem nowego budynku, jaki stanąć powinien jaknajspieszniej na ruinach starego porządku. „Jawne sprzysiężenie" — to jednocześnie ratunek wszystkiego co w ludzkości najlepsze, — to zarazem ukazanie drogi i kierunku, w jakim uciekać nam trzeba najprędzej z tego domu, który grozi lada chwila upadkiem. „Jawne sprzysiężenie" — to zatem ucieczka przed śmiercią, — to

zwycięstwo, — a także warsztat pracy po zwycięstwie...

W jednym z pierwszych rozdziałów swej trzeciej książki *) o „jawnem sprzysiężeniu" słusznie chełpi się Wełls, iż proroctwa jego się spełniają. Istotnie, znakomity popularyzator wiedzy i historyk kultury ogólnoludzkiej, pisarz ogarniający pamięcią encyklopedyczne stosy faktów, znany jest na szerokim świecie przedewszystkiem ze swych trafnych, naukowo wysnutych, przepowiedni o doniosłych wydarzeniach międzynarodowych. To też, chociażby przez wzgląd na stwierdzoną wielokrotnie u tego pisarza fenomenalną zdolność przewidywania wypadków, warto posłuchać, co Wells mówi o przyszłości „Kultury Atlantyckiej" i warto także baczną zwrócić uwagę na to, jak Wells swym „proroctwom" dopomaga, jak organizuje, propaguje i wywalcza owe „lepsze czasy" w swych przepowiedniach zawarte.

Zastanawiając się nad „wielką nielogicznością" socjalizmu , pisał ongiś nasz niezapomniany Abramowski, — „Socjalizm... jako partja polityczna, uważa za niezbędne zdobywać nowe formy życia, chociaż te formy determinują się żywiołowo; uważa za konieczne dla osiągnięcia ideału prowadzić akcję celową, uświadamiać, organizować, walczyć, jednem słowem — pchać naprzód cały rozwój dziejowy, i czyni to z tem mocnem przekonaniem, iż bez tej celowej, twórczej pracy, ideał osiągniętym nie zostanie, chociaż naukowo jest on zdeterminowany, jako wynik całej ewolucji dotychczasowej, i jako taki, w każdym razie nastąpić musi koniecznie" („Zagadnienia Socjalizmu"). Malując nam naukową niejako konieczność Rzeczpospolitej Świata, jej przyjście nieuniknione, — nawołuje przecież Wells do walki, do pracy twórczej, do poświęceń. Wells - socjalista popełnia w dalszym ciągu „wielką nielogiczność" socjalizmu. Tą nielogicznością wielką, a konieczną jest właśnie „jawne sprzysiężenie".

Mamy więc „jawne sprzysiężenie" jako walkę, — nie jest to jednak ani walka powaśnionych ze sobą ras czy narodów, ani też walka krwawa różnych klas społecznych. Właśnie przeciwko zatargom międzynarodowym i przeciwko nienawiści klas występuje Wells, gdy żąda, by w razie wojny zaciągano do szeregów armji jedynie te jednostki, które samorzutnie i dobrowolnie się zgłoszą, oraz gdy tłomaczy, dlaczego właśnie maszyna jest najlepszym środkiem wyrównania różnic klasowych, — maszyna a nie rewolucja.

Zatrzymajmy się przez chwilę na tem ostatniem zdaniu, brzmi bowiem ono niezwykle. Według Wells'a, maszyna odgrywa w stosunku do robotnika rolę drabiny, po szczeblach której wstępuje on na coraz to wyższe płaszczyzny życia społecznego, pozostawiając maszynie t. zw. grube, czy brudne zajęcia, a osiągając samemu coraz szlachetniejsze poziomy pracy. Całe ustawodawstwo ochrony pracy zawdzięcza robotnik, zdaniem Wells'a, przedewszystkiem maszynie, która stworzyła dlań takie warunki, w jakich mógł się on rozwijać umysłowo, dostrzegać nędzę własnego położenia i zrzeszać się. Stan umysłowy robotników z czasów przed wprowadzeniem maszyny — to bezduszność i bezruch, i dopiero maszyna podźwignęła wielkie masy ludzkie i uczyniła z nich ruchliwy a potężny element społeczny, przeciwstawiając klasie kapitalistów klasę uświadomionych pracowników.

Jeszcze krok a klasy zniknią. Żadna z nich nie wymorduje drugiej, lecz, stanąwszy obie na jednej płaszczynie rozwoju umysłowego, zleją się one w jedną pełnię społeczną. Powiecie, iż kapitalizm bronić będzie swej kulturalnej przewagi, — że ma potężne środki obrony, jak: — ziemie i fabryki, wojsko i pieniądze, i t. d., i. t. d. Wells wam na to odpowie, iż kapitalizm znajduje się na równi pochyłej, że przyzwyczaił się już ustępować pod naporem liczby. Tak, wszystko zależy od liczby uświadomionych. „Jawne Sprzysiężenie" jest właśnie uświadomieniem...

„Życie — to raj!" powiada Dostojewski. „Życie — to raj i my wszyscy w raju, tylko że nie chcemy wiedzieć o tem. Jeśliby jednak chciało się nam o tem wiedzieć, to jutro już by nastał raj na całym świecie". Specyficznego nabiera znaczenia zdanie wielkiego mistyka, gdy na tle dzisiejszego przesilenia porównywa się je z wizją Wells'a — naukowca i socjalisty: — Rzeczpospolita Świata rządzona przez biologów, przez psychologów przemysłu, przez pedagogów, a wolna od imperjalizmu poszczególnych państw, wolna od rozpaczliwej walki o byt wielu miljonów ludzkich jednostek...

Ponieważ brak nam wiary w lepsze jutro świata, książka Wells'a o „Jawnem Sprzysiężeniu" tem większą posiada dla nas wartość. Oswajamy się z tak rewolucyjnemi pojęciami, jak „zapewnienie minimum wolności osobistej i dobrobytu jednostki", jak „uświatowienie" produkcji rynkowej i środków transportu, a główny cel „Jawnego Sprzysiężenia" — Rzeczpospolita Świata zbliża się do nas, coraz bardziej możliwa. Po przeczytaniu książki Wells'a zostaje nam w myślach oręż, — przeciwko paradom wojskowym, przeciwko głuchym słuchom o ciągłem wzrastaniu międzynarodowych zbrojeń, przeciwko uczuciom bez-nadziei, w jakie nas wprawia każda wieść o nowych samobójstwach z głodu, o dzieciach nieuczonych, o miljonach ludzi bez zajęcia...

Nie jest wcale paradoksem twierdzenie, iż złe czasy, w jakich żyjemy, kryją w sobie zapowiedź lepszego jutra dlatego właśnie, że są złe. Słusznie zaznacza Wells, iż powodzenie „Jawnego Sprzysiężenia" zależy w dużej mierze od liczby niezadowolonych jednostek. Zasadnicza zmiana ustroju społecznego wymaga takiego momentu, w którymby ustrój stary znalazł się bez wyjścia, a wyciągnięcie ku sobie dłoni wszystkich narodów do zgody wzajemnej i do ścisłej współpracy, nastąpić może tylko w tym wypadku, gdy wojna tych narodów między sobą okaże się niemożliwością.

„Jawne Sprzysiężenie", jako drugi punkt swego programu ma na celu przeciwstawienie zawodowym dyplomatom zastępu ludzi nauki wyszkolonych specjalnie do objęcia rządów nad światem. Ponieważ każdy rząd opierać się musi na popularności śród szerokich rzesz, przeto „jawne sprzysiężenie" przeciwstawia powszechnej manji politykowania — samokształcenie. Kształcąc samych siebie, zwłaszcza w dziedzinach wiedzy o człowieku (biologja, antropologja, historja kultury, psychologja, pedagogika i t. p.), spełniamy, zdaniem Wells'a, pierwszy obo-

*) What are we to do with our lives?" W. Heinemann, London 1931. Patrz także: — H. G. Wells: — „The World of William Clissold" (1927), oraz „The Open Conspiracy". („Jawne sprzysiężenie") — 1928.

wiązek przyszłych obywateli świata, gdyż odkrywamy w samych sobie człowieka. Rzeczpospolita Świata — to nie państwo robotników, urzędników czy włościan, to nie państwo Polaków, Niemców, czy Francuzów, ale państwo ludzi świadomych swej przynależności ogólnoludzkiej.

Koniec rządów zawodowej dyplomacji, objęcie rządów nad światem przez ludzi nauki, koniec nienawiści narodowościowych, koniec różnic klasowych, zapewnienie minimum utrzymania jednostki, pokój powszechny i zgodna współpraca wszystkich ludów i ras, — wszystko to, zdaniem Wellsa, dopiero wówczas nastąpi, gdy w każdym kraju istnieć będzie pokaźna liczba ludzi świadomych biologicznych potrzeb człowieka, jego mocy, jego możliwości.

To tylko nam się zdaje, iż program Wells'a zbyt wiele od nas wymaga, że jego proroctwo o przyszłości świata obstawione jest całą masą zbyt trudnych warunków, wobec których jedynie spełnić się ono może.

Tym wszystkim niezadowolonym z obecnego ustroju „Społeczeństw Atlantyckich", wszystkim, którzy już dziś pragną zmiany na lepsze, lub którzy jej zapragną jutro lub pojutrze, stawia Wells na progu współpracy z międzynarodową organizacją „jawnego sprzysiężenia" cały szereg warunków, z których pierwszy brzmi jak następuje: „Zupełne przekonanie, zarówno teoretyczne, jak i praktyczne, o tymczasowości istniejących rządów i o tymczasowości naszego względem nich wiernopoddaństwa".

Jerzy Kornacki

WYKOLEJEŃCY

Anonimowy bohater powieści Rudnickiego *), to dobry nasz znajomy, chociaż go ubrał autor w łachmany wykolejeńca, odtrącanego przez fale wewnętrznych przeszkód od brzegu, od własnego gruntu pod nogami. Któż z nas nie doświadczył przez rok, przez miesiąc, czy przez chwilę uczuć skrajnej wrogości względem drogi, którą koniecznie należy przedsięwziąć, by „wyjść na ludzi", a która na progu samodzielnego życia zdaje się być paszczą jakowegoś zwierza, gotową połknąć nas, oderwać nas od nas samych?

Dojrzewanie, najburzliwszy okres w życiu ludzkiem obfituje w takie momenty wrogości i przerażenia, kiedy to porównywa się w marzeniu własne słabe siły z ogromem trudu, jaki należy dokonać, by zyskać samodzielność, by „wrosnąć" mocno w życie. Dojrzewanie obfituje w inne jeszcze przeżycia, często ze sobą sprzeczne, a jakże bogate i w mnogość i w treść! Nie miejmy jednak autorowi za złe, iż z oceanu doznań, dla dojrzewania tak charakterystycznych, wybrał tylko niektóre, a inne pominął milczeniem. Cała wartość jego książki, jego zdarzenia niezwykłego w naszej literaturze, polega właśnie na umiejętnej selekcji przeżyć, jakie doznaje bohater, na wyborze właśnie przeżyć literacko nowych, nie wyzyskanych należycie, a doznawanych przez wszystkich ludzi w pewnym okresie rozwoju psychiki.

Adolf Rudnicki jest jak ów kot z bajki Kiplinga, chodzący własnemi drogami. Zamiast snów erotycznych, „pierwszej miłości", jej lęków, pożądań, użycia i t. p. faktów psychicznych, tak częstych w powieściach o dojrzewnaiu, Rudnicki każe swemu bohaterowi, pozbawionemu przeżyć seksualnych, śnić inne sny, nie mniej doniosłe i charakterystyczne dla okresu dojrzewania, a nie opisane jeszcze w Polsce przez nikogo z taką wyrazistością i z takiem zrozumieniem.

Powiedział ktoś mądry, iż na podstawie każdej powieści snuć można daleko idące wnioski o epoce i o społeczeństwie jakie ją wydały. Kto wie, może właśnie w społeczeństwie naszem tkwi klucz do rozwiązania niejednej tajemnicy książki Rudnickiego, może właśnie nasze czasy tak natchnęły autora, by pisząc o okresie dojrzewania wybrał jego przebieg szczególnie nienormalny, a czyniący z bohatera powieści — wykolejeńca?

Młody chłopak, wcześnie osierocony przez matkę, wegetuje w małem miasteczku Z. pod opieką ojca, niewątpliwie dobrego, troskliwego ojca, który przez wzgląd na przyszłość jedynego syna walkę z nim prowadzi o wyjazd z miasteczka, o ruszenie w szeroki świat, jak to zazwyczaj ruszają ludzie młodzi, pełni sił i nadziei, którzyby w rodzinnym partykularzu zmarnieli, zeszli na psy. Dobry ojciec okazuje się wszelako złym ojcem, gdyż syna swego nie zna, — nie wie, iż chłopak jest jeszcze nie dojrzały do życia, a zatem nie może spaść z rodzimej gałęzi, jak odpadają dojrzałe jabłka ludzkie. Mimo wieku i wyglądu, młodzieniec ciągle jest dzieciakiem.

Prawdziwie po mistrzowsku maluje Rudnicki to spóźnione dziecięctwo swego bohatera, któremu nie czas już do zabaw, a brak sił do pracy. Bezradny w obliczu konieczności wzięcia się z życiem za bary i wywalczenia sobie swej własnej niezależności, bohater Rudnickiego marzy o Magnitogorsku, mieście bajecznem, gdzie istnieją wzorowe wylęgarnie, w których „dochodzą" dzieci, niby owoce na słońcu. Jedynym ratunkiem byłby dlań taki Magnitogorsk, — ojciec jednakże wypycha go i nagli do podróży, zrywa z rodzimej gałęzi miasteczka i ciska, bezbronnego jak dziecko, w straszliwie obcy świat, niby niemowlę szczurom na pożarcie.

Psychiczne dziecięctwo bohatera, rzuconego na warszawski bruk jest też przyczyną jego rozpaczy i nędzy dwuletniej na „obcym gruncie", w który nie może zapuścić korzeni, nie może „wrosnąć", — nasienie niedojrzałego owocu. Ostatecznie bohater wraca do rodzinnego miasteczka, — swej gałęzi z której przemocą go zerwano, — wraca na ojcowski garnuszek i chleb. Nie udała się próba samodzielności, — co więcej, złamała życie. Między wierszami ostatnich stronic powieści czyta się, iż zabieg ojcowski wykolejeńcem uczynił syna, wykolejeńcem nazawsze.

Takie są zewnętrzne niejako dzieje bohatera-anonima powieści Rudnickiego. Jeśli ciekawie przedstawia się treść, dająca bogaty materjał do rozmyślań, to niemniej „nowo" wypadła forma utworu. Wewnętrzne, „organiczne" przeżycia bohatera łączą się z wrażeniami, jakie w nim wywołuje świat zewnętrzny, tworząc nieprzerwane ciągi doznań zmysłowych, przepojonych osobistą, czysto psychiczną treścią. Podobnie, jak dziecko uważa pierś matczyną, poduszkę i zabawki za członki swego własnego ciała, tak samo domy i ulice, ludzie, a nawet swoisty blask słońca i kolor nieba nad miasteczkiem Z. stanowi dla bohatera powieści dalszy ciąg jego organizmu. Mistrzowsko wyczuty świat dziecka i liryzm dziecięcy, kolidujący z pozorem dojrzałości bohatera, nadaje tragiczne napięcie każdej stronicy, każdemu zdaniu.

---

*) Adolf Rudnicki: „Szczury". Warszawa 1932. Tow. Wyd. „Rój".

Podczas, gdy pobyt w Warszawie potraktowany jest przez autor zbyt fragmentarycznie, początkowe ogniwa powieści wykazują więcej starania o ciągłość psychologiczną. Szczególnie udatnie wypadł opis „przeczekiwania" wyjścia ojca rano do pracy, oraz wstrząsające „przeczekiwanie" dnia, czyli gonitwa z samym sobą po ulicach miasteczka i po okolicy,— smutne wędrówki dorosłego dziecka, niezdolnego zarówno do pracy, jak do dalszego tkwienia w swem bezczynnem dzieciństwie.

Niektórzy czytelnicy książki Rudnickiego powiedzą może, iż w stosunku do naszego społeczeństwa bohater powieści jest zjawiskiem wyjątkowem, nie opartem o rzeczywistość polską i zrodzonem z samej li tylko fantazji autora. Na pozór istotnie trudno sobie wyobrazić, by na najbardziej nawet zapadłej prowincji żył młody człowiek nie przejawiający żadnych zainteresowań kulturalno naukowych, artystycznych, czy społecznych, — chłopiec tkwiący jedynie we własnym egotyzmie, w świecie wizyj, rzucanych rozpaczliwym gestem samoobrony na beznadziejną szarość życia.

Jeśli się jednak weźmie pod uwagę przeraźliwą martwotę, jaką wykazuje społeczeństwo polskie, trawione ciemnotą i nędzą, jeśli się zważy zastraszający brak ośrodków kulturalnych wszelkiego rodzaju, instytucyj społeczno - oświatowych, nie mówiąc już o braku pracy zarobkowej i o zastoju w świecie społeczno-politycznym, gdzie się dotychczas bez reszty wyładowywały siły narodu, — to powieść Rudnickiego wyda się nam jedną z najudatniejszych ilustracyj naszej rzeczywistości, — fotografją psychiki przeciętnego młodzieńca.

Iluż z nas „przeczekuje" własne życie!... Iluż z nas, naprzekór „mocarstwowym" marzeniom ojców, obnosi w piersiach po świecie beznadziejną pustkę!... Tylko w świetle ideałów kwitną zainteresowania i zachwyty nad możliwościami życia, — a oto na naszem niebie stare ideały gasną jedne po drugich, nowe zaś jeszcze nie wzeszły. Brak nam ideałów w których blasku dojrzewa społeczeństwo, — a czem jest psychiczne dojrzewanie jednostki — tem kulturalne dojrzewanie narodu. Mimo pozorów „dorosłości" niedojrzali jeszcze jesteśmy.

Powieść Rudnickiego, wspaniały wytrysk samorodnego talentu, ściśle związana jest z naszą rzeczywistością, — jest krzykiem rozpaczy i protestu przeciw szarości naszego partykularza, a jednocześnie bezradnem załamaniem rąk, zbyt słabych na walkę o lepszą przyszłość. Spóźnione dziecięctwo bohatera powieści — to zjawisko wcale nie wyjątkowe, lecz wyrosłe z gruntu naszej powszechności. W czasie czytania książki Rudnickiego często przychodzi na myśl dalekie, a przecież tak bliskie nam zdanie Norwida: „Pomiędzy *przeszłością a przyszłością* otwiera się próżnia rozpaczliwa... W tej próżni zrodzone pokolenie — między *przeszłością a przyszłością* niezłączonemi niczem — czemże w rzeczywistości ma pozostać?... aniołem, co przelata — upiorem, co przewiewa — zniewieściałem *niczem*... męczennikiem... Hamletem..."

Jerzy Życieński

PRZEGLĄD POLITYCZNY

Niedawno Rosja Sowiecka obchodziła uroczyście swoją piętnastą rocznicę. Przy tej okazji jeden z dziennikarzy szwedzkich Hill Gilland ogłosił kartkę ze swoich wspomnień z przed lat 15-tu. Autor wspomnień utrzymywał wówczas w Sztokholmie bliski kontakt z grupą bolszewików rosyjskich, zamieszkałą w stolicy Szwecji: był tam Karol Radek, Angelica Bałabanowa, Worowski i inni. P. Gilland pierwszy w Sztokholmie dn. 7 listopada 1917 r. o g. 3 nad ranem otrzymał wiadomość o zwycięstwie Sowietów w Petersburgu i dał o tem znać Radkowi.

O g. 6 rano w jednem z mieszkań prywatnych odbyła się konferencja prasowa, dziennikarze przybyli w liczbie około 50. Ci, którzy jeszcze przed paru dniami brali za złe p. Gillandowi, że utrzymuje stosunki z „oberwanym Radkiem" zabiegali o przedstawienie mu się. W ten sposób doszło do pierwszego półoficjalnego interwiew'u z przedstawicielem Sowietów.

Zadano Radkowi pytanie: „Jak długo utrzymacie się przy władzy"?

Radek odpowiedział: „Powiedzcie swoim czytelnikom: 6 godzin, 6 dni, albo 6 tygodni".

— A co będzie potem? — brzmiało następne pytanie.

— Pokażemy proletarjatowi wszystkich krajów przykład. I w ten sposób spełnimy największe zadanie, jakie miał kiedykolwiek przed sobą rewolucjonista".

Od tej rozmowy, w której Radek był zupełnie szczery, minęło lat 15 zgórą.

I bardzo słusznie publicysta „Le Temps'a" p. Pierre Berland, pisząc o rocznicy Sowietów, zauważa:

— Bez względu na kryzysy ekonomiczne i polityczne, które przyniesie zima, strzeżmy się od naśladowania niefortunnych proroków, którzy od 15 lat przepowiadają koniec reżimu sowieckiego. Reżim ten zaznał już ciężkich trudności i potrafił je rozwiązywać raz gorzej, raz lepiej...„

Co stało się przez te 15 lat, zilustrują najlepiej w najdonioślejszej dla Rosji dziedzinie — produkcji rolnej, cyfry podane w „Komsomolskiej Prawdzie".

Przed 1917 r. obszarnicy rosyjscy sprzedawali 281.600.000 miljonów pudów zboża, t. j. 21% ogólnego handlu zbożem, średnio zamożni włościanie (obecni „kułacy") — 650 milj. pudów, t. j. 50%, drobni rolnicy — 369 milj. pudów, t. j. 28%.

Pierwsze dwie grupy sprzedawały zatem 71% całego obrotu zbożem.

W 1927 r. — kułacy produkowali jeszcze — 10 milj. tonn, a sprzedawali na wolnym rynku 2.700.000 tonn, dziś w 1932 r. — 250.000 „kołchozów" (gospodarstw kolektywnych) ogarnia 62% gospodarstw włościańskich i reprezentuje z górą 80% gruntów zasianych.

Z innej tabelki, podanej w biuletynie „Woksu", t. j. „Wszechzwiązkowego towarzystwa stosunków kulturalnych z zachodem" dowiadujemy się, że debit gazet w Z. S. S. R. w 1931 r. można już było porównywać z debitem amerykańskim. Cyfry te wyglądają tak:

	St. Zjedn.	*Z.S.S.R.*
1929	39.425.615	12.500.000
1930	39.589.172	22.000.000
1931	38.761.187	32.000.000

Rozumiemy, że zarówno jedna, jak i druga statystyka zawierają napewno „poprawki rzeczywistości", nieco wypaczonej dla celów propagandy, ale w każdym razie droga przebyta przez lat 15 od chwili, kiedy władzę ujmowano „na 6 tygodni" jest wielka, a osiągnięte na niej zdobycze niewątpliwe.

***

Jeden z publicystów polskich, pisujących zazwyczaj z Genewy, odwiedził niedawno Rzym i tam zwrócił uwagę na wystawy księgarskie. Uderzyła go powaga książek wystawionych w oknach w odróżnieniu od bulwarowego charakteru wystaw księgarskich w Berlinie.

M. in. spostrzegł, że na pierwszem miejscu w oknach w Rzymie widnieje

książka Emila Ludwiga „Moje rozmowy z Mussolinim".

Szkoda, że nie zwrócił uwagi na różnice, które zachodzą pomiędzy oryginalnem wydaniem tej książki publicysty niemieckiego, a jej tłomaczeniu na piękny język Italji.

Duce oczarował Ludwiga i doprowadził go do tego, że np., gdy ma określić po czyjej stronie są jego sympatje — Masaryka, czy Musolini'ego, wpada w kłopot i pisze tak: „Nie potrafię powiedzieć, która z dwu form rządów — demokracja czy dyktatura — jest lepsza. Odpowiedź na to pytanie zależy od epoki i od kraju. W danej chwili Masaryk i Mussolini wydają mi się najbardziej reprezentacyjnymi szefami tych dwóch reżimów."

Jednakże Mussolini nie był w kłopocie wobec Ludwiga i z tłomaczenia jego dzieła na język włoski usunięto najspokojniej mniej więcej jedną ósmą.

A co usunięto, zacytujmy dwa przykłady.

— Nie wierzę w przyjście Il Duce Nr. 2 — rzekł Il Duce Nr. 1, a gdyby zjawił się, Italja by go nie zniosła.

W tłomaczeniu, na język włoski zdanie od, „a gdyby..."' do końca zostało skreślone.

Ludwig pytał Mussolini'ego, czy on, który sam był więziony, nie widzi bezużyteczności więzienia przeciwników.

W oryginale niemieckim odpowiedź brzmi:

— „Wcale nie. Widzę w tem logikę. Oni zaczęli od pakowania mnie do więzień. Teraz ja ich pakuję."

A po włosku odpowiedź wygląda tak: Zacząłem od pójścia do więzienia. Dziś los się zmienił. Wykonywuję mój obowiązek.

Najmniej nawet uważny czytelnik spostrzeże różnicę między tekstem prawdziwym, a dozwolonym dla Włocha, chociaż, jak widzimy p. Ludwig rzecz swą pisał z dużem uznaniem, jeśli nie uwielbieniem dla twórcy faszyzmu.

***

Po niespełna pół roku rządów gabinet prezydjalny von Papena odszedł. Pożegnał się ze społeczeństwem niemieckiem komunikatem, utrzymanym w swoistym stylu, który zawierać miał porachunek z partjami i podniesienie zasady autorytetu nadrzędnego prezydenta. Prasa niemiecka słusznie wskazuje, że „mętny wyraz o autorytatywnym rządzie niczego nie rozstrzyga, natomiast wszyscy przyjaciele demokracji konstytucji parlamentarnej w Niemczech zawsze twierdzili, że rząd ma rządzić, a nie uzależniać się od partji". Tymczasem ten rząd, który najwięcej o niezależności od partji deklamował i niósł na tarczy autorytet prezydenta, uzależnił go od partji p. Hugenberga i grupy żubrów wschodniopruskich, którzy nie mają w społeczeństwie żadnego oparcia i znaczenia.

Stąd płynie i dalszy przebieg przesilenia, w którem prezydent Hindenburg jedną ręką prowadzi rokowania z ewentualną większością Reichstagu, a drugą dyktuje jej warunki, wykraczające poza kompetencje głowy państwa, jak np. zagwarantowanie nienaruszalności prawa dekretowania.

Gdy oficjalnie rozmawiano z Hitlerem, Kaasem i Schaeferem, nieoficjalnie tylnemi drzwiami chodzili na narady dymisjonowany kanclerz von Papen i wschodnio-pruscy sąsiedzi prezydenta z p. Oldenburg — Januschau na czele.

Rokowania o gabinet parlamentarny z warunkami podyktowanemi z poza parlamentu są zazwyczaj tylko aktem gry politycznej.

Widocznie więc u władzy zostać ma „klub panów", oparty o Reichswerę. Sędziwy Hindenburg tak rozumnie swoją rolę dziejową i swoje posłannictwo, jak zwykle nie widząc, co się w głębi dokoła niego dzieje.

Nie przemawiają doń oderwane od siebie cyfry wyborów w Lubece i w Saksonji, gdzie głosy prawicy nawet radykalnej topniały, a rosło skrzydło skrajnej lewicy.

***

Ciekawą myśl, opartą napewno na obserwacji wydarzeń rzucił na kongresie socjal - demokracji austrjackiej w Wiedniu, d. 17 listopada, d-r Otto Bauer. Mówił on, że czas stworzyć jednolity front partji proletarjatu — socjalistów i komunistów. Nie oznacza to rzucenia się w objęcia partji komunistycznej.

Dr. Bauer mówił: — „Prawo krytyki bolszewizmu musi sobie zastrzedz partja, stojąca na gruncie demokracji". Wskazując na teror i dyktaturę osobiście daje wyraz poczuciu humanitaryzmu i praworządności.

Na zjeździe wiedeńskim obecny był i b. prezydent Reichstagu, socjal-demokrata niemiecki Löbe i poruszył temat, o którym mówił Otto Bauer, oświadczając:

— „Okres tolerowania, okres koalicji skończył się... Wśród robotników niemieckich obu obozów żyje głęboka tęsknota za jednolitością akcji i każdy z naszych mówców, który daje jej wyraz może być pewien burzliwego aplauzu masy ludowej..."

Na pytanie, dlaczego tendencje te nie dają wyników, Paul Looebe odpowiada:

— ... „ponieważ druga strona słucha rozkazów dyktatorskiego nad-rządu po za granicami kraju".

Myśli i opinje rzucone podczas obrad socjalistycznych w Wiedniu zasługują na baczną uwagę. Z nich więcej dowiadujemy się o tem, co dzieje się w gąszczu masy ludowej, czem żyje ona i do czego dąży, niż z wielu ankiet i reportaży międzynarodowych.

Ale rzadko kto i rzadko gdzie chce słuchać tych podziemnych szmerów.

St. Gr.

LISTY DO „EPOKI"

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

Spieszę powiadomić Sz. Pana Redaktora, że detefony, które Polskie Radjo nam ofiarowało, jużeśmy otrzymali.

Nie potrzebuję tego opisywać, jakżeśmy się bardzo ucieszyli. To też przesyłam Panu, z głębi serc naszych najserdeczniejsze podziękowanie, że Sz. Pan Redaktor był tak łaskaw dopomóc nam w tej sprawie. Jednocześnie uprzejmie proszę Pana, o wydrukowanie listu do Polskiego Radja.

Łączę dla Pana, Sz. Pana Redaktorze wyrazy prawdziwego szacunku i poważania.

Częstochowa, Zakład Św. Antoniego.
Leon Łaganowski,

DO POLSKIEGO RADJA!

Będziesz dla nas wolną i niezależną prawdą, jako że drogi i granice twoje są bez końca, a proste i bez przeszkód ponad głowami stróżów ciemnoty. Tyś nam zapaliło światło, które mroki nasze oświetlają. Ty nam będziesz zawodzić nasze kochane melodje ludowe. Ty nam będziesz mówić, co się dzieje w świecie. Ty nas będziesz rozśmieszać w naszej niedoli. Zato wszystko i za szlachetny uczynek, jaki nam Polskie Radjo wyświadczyło, ofiarując nam bezinteresownie i bezpłatnie detefony, składam w imieniu moich towarzyszy niedoli i od siebie najserdeczniejsze podziękowanie dla Polskiego Radja.

Leon Łaganowski

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

P. Henrykowi Ł. w Warszawie. Nowela Sz. Pana mogłaby posiadać pewną wartość, gdyby Pan zdobył się na zasadniczo odmienne ujęcie. Pisze Pan o pewnym jegomościu, który, grając na wyścigach, stale wygrywał, gdyż... modlił się o wygraną. Pobożność, wskazywaną przez Pana ogółowi, jako najszczytniejszy cel życia, stawia Pan w brzydkiem świetle i robi z niej rzecz niesmaczną.

Pani Zofji L. D. w Łucku. Zdjęć fotograficznych nie zamieszczamy.

P. Olgierdowi K. w Gnieźnie. Żałujemy, iż nie będziemy mogli skorzystać, gdyż mamy już w tece artykuł poruszający te same zagadnienia. Prosimy o dalsze próby.

P. P. H. i W. — M-skim w Gdańsku. List Sz. Państwa przesłaliśmy autorowi artykułu. Za miłe słowa dziękujemy serdecznie.

P. Z. I. w Zawierciu. Książki Tetmajera o Ignacym Daszyńskim, na jaką się Pan w swym artykule powołuje, niema. Nietylko nie wyszła w druku i nietylko nie została napisana, lecz nigdy jej Tetmajer nie zamierzał pisać. Ktoś z Pana zażartował — w przyszłości radzimy być ostrożniejszym i powoływać się na książki rzeczywiście czytane.

P. Józefowi Z. w Łomży. Stawia nas Pan w kłopotliwem położeniu, gdyż zmuszeni jesteśmy zrobić Panu przykrość, jakiej się Pan spodziewa i przed którą „drży, jak przed nieszczęściem". Grafomanja przezwyciężona w porę przestaje być niebezpieczna, a przy odrobinie siły woli z Pańskiej strony, możliwe, iż nie powtórzy się więcej. Zapytuje Pan, czy choroba ta jest dziedziczna. Sądzimy, że nie. Mimo, iż u Sz. Pana występuje ona w stopniu wysokim, jednak o psychiczne zdrowie swych dzieci, niech się Pan z tego powodu nie lęka. Główna rzecz, by nie wtajemniczać dzieci we własne próby literackie, gdyż w takim wypadku działać one mogą podniecająco i naprawdę zaszkodzić zdrowiu. Wobec tego radzimy nie chować ani jednego „kawałka" na pamiątkę, lecz spalić wszystkie natychmiast.

KSIĄŻKI NADESŁANE

Józef Piłsudski: Pisma wybrane. Wstęp Kazimierza Kosińskiego. Wydawnictwo kwartalnika „Zrąb". Warszawa 1932.

Janusz Meissner: Żwirko i Wigura. Załoga RWD. Nakład Gebethnera i Wolffa. Warszawa 1932.

Mieczysław Jarosławski: Miss i murzyn. Tow. Wydawn. „Rój". Warszawa 1933.

Upton Sinclair: Małżeństwo Sylwji. Tow. Wydawn. „Rój". Warszawa 1933.

Sygfryda Unset: Macierzyństwo. Przekład Marji Kuncewiczowej. Tow. Wydawn. „Rój". Warszawa 1933.

Hugh Walpole: Tajemnicze miasto. Powieść w 3-ch częściach. Przekład St. Śmigielskiegoo. Tow. Wyd. „Rój". Warszawa 1933.

TREŚĆ NUMERU:

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: WARSZAWA, UL. OKÓLNIK 11 — TEL. 285-52 — KONTO P.K.O. 26630

REDAKTOR przyjmuje w poniedziałki, środy i piątki od 17 do 18-ej. RĘKOPISÓW nie zwraca się
PRENUMERATA kwartalnie z przesyłką zł. 6.— zagranicą kwartalnie zł. 7.50 — numer pojedyńczy 60 groszy.
OGŁOSZENIA: za wiersz 1 mm. lub jego miejsce (szer. 90 mm.) zł. 1.— w tekście. Za tekstem (szerokości 60 mm.) gr. 40

REDAKTOR I WYDAWCA: JÓZEF WASOWSKI Nr. 2793 Odbito w Zakł. Druk. W. Piekarniaka Warszawa, Ordynacka 3